Nr. 41. Lwów, Niedziela dnia 10. Października 1875 r. Rok II.

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY.

TOM II.

PRENUMERATA we LWOWIE
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni D. E. Friedleina.

Redaktor A. J. O. ROGOSZ.
Wydawcy: A. J. O. ROGOSZ i F. H. RICHTER.
Główny skład w księgarni F. H. RICHTERA we Lwowie.
Biuro redakcji przy ulicy Halickiej l. 52.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie 28 m. półrocznie 14 m. kwartalnie 7 m.
NA PROWINCJI:
Rocznie 34 m. półrocznie 17 m. kwartalnie 8 m. 50 f.

LUŹNE UWAGI.

XLI.

W SPRAWIE WYDAWNICTWA KSIĄŻEK SZKOLNYCH DLA SZKÓŁ LUDOWYCH.

I. Sprawy szkół ludowych, nader ważne dla naszego społeczeństwa, budzą nasze szczególne zajęcie. Chętnie śledzimy wszelkie objawy na tem polu, pragnąc, o ile to w naszej mocy, przyczynić się do uchylenia złego, gdziekolwiek ono widoczne. Dziś zamierzamy dokładnie rozglądnąć się w sprawie wydawnictwa książek szkolnych dla szkół ludowych, i podnieść mianowicie jednę kwestję arcyważną, a może nie dość znaną naszym czytelnikom.

Nie chcemy się zastanawiać nad ważnością dobrych książek szkolnych dla szkół ludowych, gdyż czytelnicy nasi niewątpliwie pod tym względem podzielają nasze zapatrywania. Przedstawimy tylko w krótkości, w jaki sposób te książki przychodzą teraz do skutku, i jakie pod tym względem panują niedogodności.

Rada szkolna krajowa otrzymawszy prawo uchwalenia tekstów do książek szkolnych dla szkół ludowych, ma pod tym względem dostateczną swobodę; — tylko od czasu do czasu otrzymuje po wydrukowaniu tej lub owej książki uwagi ze strony ministra oświaty, mające bardziej cechę polityczną, aniżeli dydaktyczną lub pedagogiczną; czasami żąda pan minister dosadniejszego uwzględnienia rzeczy specjalnie austrjackich, i na tem kończy się jego ingerencja. Musimy przyznać Radzie szkolnej krajowej, że na polu szkolnictwa ludowego zdziałała wiele dobrego, co jej przyznają nawet najbardziej surowi krytycy. Chcąc mieć odpowiednie książki szkolne dla szkół ludowych, wybrała Rada szkolna osobną komisję do wydawnictwa tej kategorji, w której skład obok kilku członków Rady szkolnej, wchodzą także niektórzy profesorowie lwowscy, znani z prac literackich z zakresu literatury szkolnej. Komisja ta wydała dotąd elementarz, książkę pierwszą do czytania, oddała zupełny rękopis książki drugiej do czytania, a książka trzecia do czytania jest na ukończeniu; przytem wydano zupełną książkę do nauki rachunków dla szkół ludowych, i ułożono plany lekcyjne do nauki niektórych przdmiotów dla szkół wydziałowych, i plany podręczników dla tych szkół, oddając ich wypracowanie częścią członkom komisji, częścią profesorom z poza grona komisji.

Koszta komisji książkowej (elementarnej) ponosi Rada szkolna z własnych funduszów, ze swych oszczędności, chociaż cały zysk materjalny z tych wydawnictw pożera „C. k. uprzywilejowane wydawnictwo książek szkolnych we Wiedniu.“ Tak jest, każdą książkę szkolną dla naszych szkół ludowych drukują we Wiedniu nakładem i na korzyść owego uprzywilejowanego wydawnictwa, pomimo naszej autonomji szkolnej, i pomimo że ruskie książki ludowe drukuje Stauropigja, mająca dla siebie taki sam przywilej, jak wydawnictwo wiedeńskie.

Przypatrzmy się, jakie z przywileju wiedeńskiego wydawnictwa spływają na nasze szkoły niekorzyści. Przytoczymy dwa fakty, które niedawno właśnie się wydarzyły. Fakt pierwszy: komisja książkowa ułożyła we Lwowie elementarz, który zdaniem ludzi fachowych pod względem treści przewyższał wszystkie dotąd używane elementarze. Elaborat komisji oddano Radzie szkolnej, a potem wydawnictwu wiedeńskiemu. Na druk czekano więcej niż rok; nareszcie wyszedł elementarz z licznemi błędami drukarskiemi, które, jak nam donoszą, wykazał był w korekcie pewien członek Rady szkolnej, któremu tę czynność powierzono, a które ostatecznie nie zostały uwzględnione. Tak więc usilna praca komisji elementarnej spełzła na niczem. Mamy elementarz bardzo piękny pod względem treści, a lichy pod względem zewnętrznej formy.

Fakt drugi: Prosimy zapytać lwowskich księgarzy, ile razy z początkiem bieżącego roku szkolnego pytano ich o pierwszą polską książkę do czytania dla II. klasy. Kto choćby dziesięć minut przepędził w owym czasie w którejkolwiek księgarni, mógł przypatrzyć się całym szeregom dziatwy szkolnej, żądającej niemal płaczliwym głosem tej książki. Dopiero później, gdy nauka już na dobre w szkołach się rozpoczęła, przysłano tak mały zapas tych książek, że je w przeciągu kilku godzin rozchwytano, i poczęły się na nowo procesje młodzieży, która nie była w nie zaopatrzoną. Czyjaż w tem wina? Wiadomo nam dokładnie, że rękopis tej książki ukończono przed rokiem we Lwowie i wysłano go do Wiednia we wrześniu, czy w październiku r. 1874. Ale wydawnictwo książek szkolnych nie łaskawe było pospieszyć się z wydrukowaniem; miało ono prawdopodobnie pilniejsze sprawy do załatwienia. Czy biedna dziatwa szkół naszych prędzej lub później będzie miała książki niezbędne do nauki, to tych panów wcale nie obchodzi. Wszak ich zysk jest zabezpieczony, bo uczeń nasz choćby w piątym miesiącu nauki szkolnej musi' się zaopatrzyć w książkę, i odbyt pozostanie ostatecznie taki sam, jakim byłby z początkiem roku szkolnego.

Czy te dwa fakty, przytoczone z ostatniej chwili, nie są w stanie wywołać okrzyku oburzenia przeciw ujarzmieniu naszego wydawnictwa książek szkolnych? Czy trudno obliczyć zgubne skutki tego nieznośnego stosunku? Wszak niezliczone jeszcze przykłady moglibyśmy przytoczyć, gdyby te dwa nie wystarczały i gdybyśmy się nie obawiali znużyć naszych czytelników.

W przyszłym tygodniu rozpatrzymy się dokładnie, jakie niedogodności wynikają dla nas z wydawania książek szkolnych we Wiedniu, tudzież rozważymy, czy zabiegi Rady szkolnej krajowej, zmierzające do uchylenia złego, mogą być dostateczne.

CHRZEST POLSKI.

Powieść ze zdarzeń ostatnich, w trzech częściach

przez

J. Dzierzkowskiego i Wł. Sabowskiego.

(Ciąg dalszy).

VIII.

Musimy teraz na chwilę porzucić Zaskale i przenieść się do majątku pana mar-

szałka Szóstackiego, którego nam bliżej poznać wypada. Główna jego rezydencja była w Łaszczyńcach, majętności obszernej o kilku folwarkach na bujnej ziemi podolskiej, odległych od Gradowiec o dobrych dwie mil, czyli wedle moskiewskiego podziału przestrzeni o wiorst 20. Pół mili za Zaskalem, które dzieliło jedynie Łaszczyńce od Gradowiec, zaczynało się terytorjum JW. marszałka, i to było najwyższą zgryzotą. Połknąć jakimkolwiek sposobem Zaskale, było najulubieńszem marzeniem marszałka, celem jego jedynym.

Z kilku już rysów, poprzednio rzuconych, poznaliśmy już po części usposobienie i charakter, czyli — lepiej powiedziawszy — brak charakteru pana marszałka, którego przy bliższem poznaniu nie trudno nam przyjdzie ujrzeć w całej okazałości. O jego powierzchowności nie wiele się da powiedzieć: chyba że jak wewnątrz był brak charakteru, tak znowu zewnątrz brak powierzchowności wart zastanowienia bliższego, był jego głównem znamieniem. Jego kusa, podsadkowata postawa, z wystającym dobrze wypasionym brzuszkiem, z głową łysawą, pokrytą resztkami włosów, niegdyś bardzo jasnych, przyprószonych już lekką siwizną, twarz pyzata, więcej szeroka jak długa, doskonale wygolona, z próbką problematycznych wąsów na wydętych ustach, które od lat dwóch dopiero zapuścił, przez koncesję dla budzącego się uczucia narodowego nawet pomiędzy JWielmożnymi marszałkami; oczy wreszcie siwe, okrągłe i dosyć wydatne, ale zawsze spuszczone, jakby nie chciał czy nie śmiał otwarcie niemi drugim w oczy zaglądać, lub może uważał niżej marszałkowskiej godności swojej, by niemi patrzyć na tyle niższe od niego tłumy, wszystko to razem wzięte wystarczało wszakże do prawdziwie marszałkowskiej powierzchowności, i powagi arystokratycznie reprezentancyjnej, z jaką, choć nie głową ani sercem lub sumieniem, ale dumą, pewnością siebie i zarozumiałością przodkował pomiędzy szlachtą powiatową, a nawet po części i guberską. To też prócz żądzy zaokrąglenia majątku połknięciem Zaskala, drugim celem żywota marszałka powiatowego było zostać marszałkiem guberskim. Nie jest to obrazek przesadzony, na nasze nieszczęście! Takich Szóstackich, lub jakkolwiek się inaczej nazywają, posiadaliśmy do czasów ostatnich bardzo wielu w ziemiach polskich, pod rządem moskiewskim zostających, i niestety!... powiedzieć nie możemy, byśmy nie posiadali ich dotąd jeszcze po całej szerokiej ziemi naszej ojczystej, pod tym marszałkowskim lub inaczej nazywającym się kształtem.

Pan Szóstacki, choć Szóstacki, i dla tego właśnie że Szóstacki, był arystokratą jak najmocniej nadętym, i sam siebie rachował do arystokracji *pur sang*. Miał ci też do tego prawo niezaprzeczone, bo choć po mieczu o Szóstackich ani dzieje, ani herbarze nawet nie wiele pisały, bo nobilitacja ich rodu sięgała ledwie Stanisława Augusta, za którego panowania tak łatwo było przyjść do szlachectwa i tytułów, że żydzi po karczmach jajecznicę zwali szambelanem, czyniąc aluzję do szybkości z jaką można zrobić jajecznicę jak i szambelana; ale za to babka marszałka była najprawdziwszą księżniczką, która dożywszy w panieństwie niemiłej trzydziestówki, wniosła w ród Szóstackich wielce gołą mitrę.

Współobywatele pana marszałka rozmaicie czasem gadali o tej arystokracji *pur sang* Szóstackich, i byli nawet starzy wyjadacze niepoprawni, wertujący więcej jak po herbarzach, po kronikach skandalicznych, którzy z drwiącą miną twierdzili, że nazwa Szóstackich jest bardzo stósowną nazwą, a na poparcie tego rozpowiadali stare dzieje o dziadku stryjecznym pana marszałka, który kolegując z sławnym Walickim i innymi szulerami, którymi nas obdarzył dwór Stanisława Augusta, gnojony zepsuciem moskiewskiem, z Petersburga furami do Warszawy przywożonem — zdobył znakomitą fortunę po rozmaitych stolikach zielonych w faraona i inne gry szulerskie, w które niestety!... część znaczna najznakomitszego społeczeństwa naszego, przegrała najprzód mienie własne, i cześć własną, a w końcu i ojczyznę.

Młodsze pokolenie przyznawało marszałkowi prawo do arystokracji *pur sang*, mianowicie, gdy przed perjodycznemi wyborami pan Aleksander Szóstacki obkarmiał i opajał należycie, przemawiając przytem z wielkim zapałem do szlachty, nazywanej wówczas przez niego bracią szlachtą, i przyrzekając jej przed wyborami złote góry, które wedle przysłowia rodziły po wyborach myszki, wcale niepokaźne i nie złote nawet. A potem w ogóle w ostatnich trzech czy dwóch dziesiątkach lat wyobrażenia o arystokracji dziwnie się pomięszały. Arystokracja czując z jednej strony jak się z pod niej usuwa pewna podstawa w narodzie, sama przypuszczała mnóstwo intruzów, by nimi połatać mocno podziurawione szeregi swoje. Z drugiej strony w wyższych salonowych sferach postęp liberalny, który przecież i tam zawitał, tem się objawił, że indygenat arystokratyczny rozszerzono niemało, rozciągając go z rodowych pochodzeń, na pochodzenia kieszeniowe, z herbów na szkatuły. To też śmiało najarystokratyczniejsze salony nasze tamtejsze krzykliwym radykałom odkrzykiwały:

— Alboż to my nie postępowce, nie liberalni także!... my się przecież nie zasklepiamy w dawnych przesądach rodowych! Przepatrzcie nasz inwentarz.... Ilu my tu przypuścili ludzi zasłużonych, co się pożyteczną pracą podnieśli z gminu.

Pod pożyteczną pracą rozumieć potrzeba pracę co przecież przynosi jakiś zysk rzeczywisty. To zdrowy rozsądek powiada. Inna praca, choćby do pracowników należeli pierwsi wieszcze, najznakomitsi artyści i pisarze, jest pracą niepożyteczną, jeżeli tym pracownikom nic nie przynosi w rzeczywistych odsetkach. Kto w ciemię nie bity, lub nie jest przewrotnym, i wszystko przewrócić żądnym komunistą, demagogiem, nieprzyjacielem rodziny i ładu społeczeńskiego, przyznać musi tę drugą prawdę, jasną jak samo słońce. Tłumaczyli to salonowi moraliści, utrzymywani na wikcie arystokratycznym na to właśnie, aby tłumaczyli tym krzykaczom w dole, to jasne jak samo słońce prawdy.

— My czujemy zaiste potrzeby postępu!... i wywieszamy wszędzie i zawsze godło nasze, godło święte, które się zowie: Naprzód!... — mówili salonowi statyści, ludzie wyższej inteligencji, przypuszczeni do spółkowania z arystokracją, która ich przyjmowała za adwokatów swoich, przemawiających bądź prozą, bądź wierszem nawet, (wolno im rznąć filipiki lub ody, wedle talentu). — I że czujemy, dowodzimy, bo ileż to z naszych najarystokratyczniejszych nazwisk stoi dziś na czele olbrzymich przedsiębiorstw przemysłowych. A przemysł! panowie!... (słuchajcie! słuchajcie!) to postęp prawdziwy. Zdobycze przemysłu, są prawdziwemi zdobyczami postępowemi, bo rozprzestrzeniają się parą i iskrą elektryczną na świat cały, obejmując go czułemi ramiony kolejowemi!... są prawdziwemi zdobyczami, bo zdobywają rzeczywiście bogactwa!... Tylko ślepi i złośliwi tego nie widzą, że kraj ten najbogatszy, w którym mieszka najwięcej indywiduów bogatych. Więc gdy przemysłem nie wahamy się my karmazyny, my *primates nati* narodu bogacić, bogacimy kraj, a więc dajemy dowód, jako najlepiej rozumiemy prawdziwy postęp, i prawdziwy patrjotyzm!... A ty gminie patrz!... siedź cicho!... i czekaj!...

Tak było w chwili kiedy się moja zaczęła opowieść; tak było do bardzo niedawna. Czy i dziś tak jest?... czy się nie zmieniło to zupełnie, po zdarzeniach późniejszych, to w ramy czasu, jakie obrałem do powieści mojej, nie wchodzi; to może należy do literatury przyszłości, do której trzeba mieć odrębne uzdolnienie jakby do tworzenia owej muzyki przyszłości, na której tony próbują niektórzy kompozytorowie stroić swoje instrumenta i uszy swoich słuchaczów.

W takiem znaczeniu pan Aleksander Szóstacki, marszałek powiatowy w rzeczywistości, a guberski w nadziei — był arystokratą *pur sang*, i był zarazem postępowcem folblutowym.— Jakkolwiek wyżej niewiele o jego głowie pochlebnego nadmieniłem, muszę to przyznać, że jeżeli nie miał dość głowy do zrozumienia logiki narodowej, a tem mniej logiki historycznej, miał w niej właśnie tyle mózgu, ile potrzeba na utworzenie porządnego spekulanta. Do wszelkich wyrachowań przemysłowych, i konceptów w spekulacyjnem korzystaniu z przemysłu, miał właśnie tyle rozumu, ile w swej ręce tłuściutkiej, wystającej z szerokich, zakasanych z bankierska rękawów, i w długich a żywych palcach zdolności do obcinania kuponów. Nie wiele by wymyślił, ale z wymyślonego jako *fruges consumere natus* umiał sowicie korzystać.

I nie można by nawet powiedzieć, że nie miewał czasami swoich własnych, wielce świetnych idei. Francuzi to zowią *des idées lumineuses*, które nawet miewał u nich Brillat-Savarin, gdy wymyślił dziwnie smaczny piuret cybulowy, chociaż paryscy kuchenni zarzucili mu, że tylko uperfekcjonował wynalazek księcia Soubise, o pół wieku starszego pasibrzucha.

Jako próbkę idei Szóstackiego pozwolę sobie przytoczyć (zaręczając, że to już koniec zanadto długiego epizodu mego) jeden fakt pewny.

Było to w dość arystokratycznem zgro-

madzeniu, do którego przez jakiś przypadek wlazł jakiś intruz brodaty i już wtenczas uczamarkowany, kiedy jeszcze kwitnęły fraki lube, a zatem wielce cuchnący czerwonością demokratyczną. Mowa była o kolejach żelaznych. Smietanka rodowa i szkatułowa dziwnie pięknie rozumowała o wielkim pożytku dla naszego kraju. Pan Szóstacki kiwał głową z wielką pojętnością. Brodaty intruz przekrzywiwszy usta drwiącym uśmiechem, długo słuchał w milczeniu, i nagle zakrzyknął głosem tak ulicznym, że omal się nie oburzyła cała zgromadzona śmietanka.

— Mógłbym poczynić wiele zarzutów, ale widzę po wyrazie twarzy tu zgromadzonych, że byłyby grochem o ścianę rzuconym. Ale ponieważ zajechaliśmy koleją żelazną na pole patrjotyzmu, zapytam panów dla czego do tych kolei waszych sprowadzacie cudzoziemców nietylko do wyższych posad technicznysh (chociaż jest dowiedzioną rzeczą, że i u nas techników zdolnych jest mnóstwo; prawda że ich trzeba zbierać w gminie, z błota ulicznego) ale nawet do najmniejszych miejsc konduktorów, nadzorców itd. kiedy u nas tak jest liczny proletarjat inteligencyjny, najnieszczęśliwszy, bo i rząd i nasi ich odpychają, rzucając na pastwę nędzy i głodu!...

Panowie luminarze zgromadzeni popatrzyli na siebie, i tylko się uśmiechnęli, a ich uśmiech najwyraźniej mówił do uczamarkowanego intruza:

— Z takim jak ty i tobie podobni, my nie gadamy.

Owóż pan Szóstacki w tym razie nietylko że miasto cichego uśmiechu, parsknął głośnym śmiechem, ale nawet przemówił w następujące słowa:

— To nic naturalniejszego!.... kiedy my się staramy o zbogacenie kraju i siebie, to któżby tam zwracał uwagę na indywidualne cierpienia. Przyjdzie czas i na nich... gdy my uznamy, że już czas!...

— A tymczasem niech zdychają z głodu! — rzekł ulicznik.

— Zdobycze przemysłowe! — odpowiedział marszałek wyciągając nakrochmalone kołnierzyki — jak zdobycze wojenne, muszą mieć trupów. Wielcy wodzowie na to zważać nie mogą.

— Kłaniam wielkiemu wodzowi! — powiedział brodacz, i wyszedł zatrzasnąwszy drzwi.

A gdy wyszedł ulicznik, dwie mitry i pięć koron hrabiowskich uścisnęło Szóstackiego, a baronowie obecni patrzyli na niego z wyrazem czci i uwielbienia.

Poznaliście państwo teraz pana marszałka, jakbyście go mieli wyfotografowanego. A teraz wejdźmy do jego pomieszkania.

IX.

Taki brylant czystej wody, jakim był marszałek, musiał też mieć godny siebie futerał, odpowiednie puzderko do schowania. Futerałem i puzderkiem naszego marszałka, był jego pałac w Łaszczyńcach. I rzeczywiście był to godny jego futerał. Patrząc na marszałka i pałac jego, mimowolnie przychodziła na myśl przysłowiowa zagadka: Wart Pac pałaca, a pałac Paca. Ojciec marszałka, gdy te dobra po szulerze stryjaszku objął w posiadanie, zastał tam stary dwór murowany, obszerny i wygodny, i choć został szambelanem, tyle miał rozumu, że się w nim mieścił doskonale. Ale syn jego, nasz pan Aleksander, tak nazwany na cześć cara Aleksandra Pawłowicza, inne miał wyobrażenia o puzderku, godnem wzmagającej się w mienie rodziny Szóstackich.

— Nam trzeba pałacu! — przemówił stanowczo, i wziął się do urzeczywistnienia swej myśli.

Zwalił stare domostwo i jął budować nowy pałac. Z drogi po kraju rodzinnym, zostały mu w pamięci dwa pałace, które mu najmocniej przypadły do pańskiego gustu. Pierwszym był pałac Ilińskich w Romanowie, lecz że miał zawsze skłonność do rachunkowości, zdecydował, że wystawienie takiego gmachu, za drogo by go kosztowało. Został za tem przy drugim wzorze. Był nim pałac w Kodni, między Berdyczowem a Żytomierzem pana jenerała (wojsk niewiadomych) Korzeniowskiego. O panu jenerale Korzeniowskim, jego pałacu, i całem w ogóle jeneralstwie, jakoteż obywatelskiem stanowisku, jeżeli mi kiedy starczy czasu i swobody, opowiem czytelnikom moim w pamiętnikach, których napisanie jest od dawna mojem marzeniem najmilszem. A zaprawdę ciekawe wcale szczegóły łączą się z pałacem w Kodni, i całem ówczesnem społeczeństwem, jak je sobie przypominam z lat mych wiośnianych.

Więc tedy stanął w półkole pałac, architektury, jaką tylko mogła wymyśleć w czasach skażenia się smaku, idąca w parze ze skażeniem głowy i serca bujna a głupia fantazja spanoszonego, z wrogami kraju zaprzyjaźnionego szlachcica. Przejechawszy kraj nasz w różnych kierunkach, można jeszcze zdybać z końca wieku minionego a początku bieżącego pozostałe próbki takich dziwolągów architektonicznych. Był więc i pałac we środku, i łukiem zagięte galerje z dodatkami oficynowemi, do których pan Aleksander Szóstacki dodał jeszcze własnego konceptu wieżyczki, ni to minarety, ni to chińskie altanki, nadające całości powierzchowność najpocieszniejszą. Było coś mandaryńskiego w całym gmachu; wszakże usposobjenia umysłowe wielu panków owoczesnych miały wiele powinowactwa z mandarynizmem.

Dla słuszności, choć to właściwie nie należy do rzeczy — trzeba przyznać, że pan Aleksander Szóstacki, gdy już ukończył puzderko dla siebie, pomyślał i o Panu Bogu, który mu się pozwolił urodzić w tak sprzyjających okolicznościach, i dozwolił mu zostać marszałkiem powiatowym. A więc naprzeciw pałacu, oddzielony tylko ulicą potrójną topolową i obszernym placem, wystawił dom też dla Pana Boga. Dom ten ledwie można było nazwać kościołem, już głównie dla tego, że go więcej dla własnej próżności wybudował, niżeli dla chwały Boskiej; nareszcie z tego powodu, że w całej architektonicznej gmachu powierzchowności, było trochę świątyni pogańskiej, trochę bóżnicy żydowskiej, a najwięcej, mianowicie w baniastej, nieregularnej a sowicie złoconej kopule, stylu byzatyńsko-cerkiewnego. Tym ostatnim dodatkiem chciał zapewne w świątyni nawet Bogu przeznaczonej, wyjawić światu swą lojalność marszałkowską. I aby wszem wobec i każdemu z osobna był wiadomym cel, i nie tajną myśl przewodnicząca budowie, na portyku wchodnym był napis odpowiedni. Pomiędzy ciasne gzymsiki wpakował fundator mniejszemi literami czarnemi:

D. O. M.

Bogu na chwałę.

a na miejscu najszerszem, łokciowemi literami, wypukłemi i złocistemi wypisane było:

Wystawił Jaśnie Wielmożny

ALEKSANDER SZÓSTACKI,

Szambelanic, Marszałek powiatu kamienieckiego, kawaler Krzyża Miechowskiego, właściciel Gradowiec, Łaszczyniec, Małej i Wielkiej Woli, Podleśnik, Berezówki, Władkowiec, Zarzeczki, Aleksandrówki itd. itd. itd.

Dodajmy na zakończenie, że w kościele koło samego ołtarza, czyli raczej nad nim panująca, była obszerna loża dla rodziny pańskiej, z której przy nabożeństwie mógł jaśnie wielmożny szambelanic i marszałek patrzeć z góry na księdza podnoszącego kielich, i na lud klęczący pod nim. Pod lożą jaśniał herb ogromny, czyli raczej mięszaninka herbowa, pełna podków, krzyżów, gwiazdek i innych heraldycznych hieroglifów, których wszakże nie zdołał odczytać żaden heraldyk, najmocniej w Paprockich, Niesieckich, Okolskich itd. oczytany.

Przed pałacem był obszerny bardzo dziedziniec, zamknięty kratą pozłocistą, i ogromna brama, w której dwa olbrzymie wielkoludy kamienne, podtrzymywały taką samą jak pod lożą kościelną edycję herbową, żywemi barwami na blasze malowaną, z dodatkiem bogatej w rozmaitą broń armatury, i wiszących orderów bez liku. Cały dziedziniec okolony żwirową drogą, zasiany był murawą, otaczającą kompas niepospolitych rozmiarów.

Na dziedzińcu, w chwili gdy wchodzimy do pałacu, widzimy kilkanaście powozów zaprzężonych, widocznie na odjazd zgromadzonych gości oczekujących. Jakoż potrzaskiwanie biczów zdawało się zgromadzonym dawać hasło do odjazdu, rodzaj pobudki niecierpliwych furmanów.

Było to już koło zachodu słońca, i był to koniec zjazdu znacznej części obywatelstwa okolicznego, którego pozornym powodem był bliskim wyjazd pana marszałka do miasta powiatowego, a zatem pogadanka o sprawach powiatowych. Lecz dla powieściarza, który wie wszystkie najskrytsze tajniki, wiadomem jest, że zjazdu tego była inna, daleko głębsza przyczyna, której się zaraz dowiemy.

Od ogrodu była sala wielka, przez dół i piętro sięgająca, którą pan marszałek sam nazywał (nazwisko to powtarzając jak najwięcej przy każdej sposobności) salą przodków. I w rzeczy samej ściany były zapełnione obrazami, z których wyglądały twarze męzkie i kobiece w strojach różnych wieków, z bułatami, buzdyganami, robronami kornetami najdoskonalej oddanemi — a w takiej ilości, żeby nimi rodzina Szóstackich mogła była bezpiecznie obdarzyć ze

*

cztery jeszcze najstarsze rodziny szlacheckie — a dla wszystkich byłoby dosyć antenatów i antenatek. Pan marszałek zamówił tę galerję u jednego malarza warszawskiego w czambuł, zostawiwszy mu nietylko artystyczne wykonanie, ale i wielce ku temu potrzebne a najrozleglejsze studja historyczne. A że mimo bardzo długich targów, dosyć dobrze malarzowi zapłacił, więc też malarz sumienny wpakowawszy protoplastę w jakieś romantyczne szaty bajecznych dziejów naszych, z pogańską kolczugą w potężnej prawicy, dalszy szereg potomków podzielił najsumienniej na wszystkie wieki aż po czasy najpóźniejsze, zachowując stosowne ubiorowe draperje, i dodając miasto podpisów, początkowe litery piastowanych urzędów i tytułów, z czego zdziwiona i olśniona szlachta podolska mogła się dowiedzieć, że rodzina Szóstackich miała pięciu hetmanów rozmaitych buław, trzech kasztelanów krakowskich, wojewodów piętnastu, biskupów drugie tyle, siedmiu arcybiskupów, a nawet jednego kardynała wypasionego, z potężnym kapeluszem na głowie. Aby dzieło najsumienniej ukończyć, zadał sobie pracy malarz, aby wszystkim twarzom nadać podobieństwo rodzinne. Uczynił to *con amore;* i to była, jak sam twierdził przed poufałymi przyjaciołmi, najlepsza część nagrody za pracę, i jej część najmilsza. Wyraz twarzy marszałkowskiej odbijał się aż miło po twarzach wszystkich.

— Jeżeli rodzina historyczna cezarów niemieckich może się odznaczać znanym kształtem ust — mówił malarz z zapałem— dlaczegoż wybałuszone oczy i gulowate nosy nie mają być dziedzicznemi w sławnej rodzinie Szóstackich?

To też typ próżności zewnętrznej i wewnętrznej, umiał malarz z stosownem urozmaiceniem zachować wiernie na wszystkich twarzach. Z dumą i przyjemnością mógł patrzeć marszałek na przodków swoich i powiedzieć śmiało:

— Jam do nich podobny!... oni podobni do mnie!...

W tej sali pan marszałek nagromadził istny lamus sprzętów niby starożytnych, skupowanych po różnych licytacjach, co sali przodków nadawało typ sklepu starych gratów, nazywanego przez Francuzów *bric-à-brac.* Aby uwzględnić nareszcie ducha wieku w jakim żył, jednę ścianę ubrał marszałek w nowożytne ryciny i obrazy, lustra i kandelabry, i oparł o nią dęte i rznięte sprzęty tegoczesne. Dla własnej nareszcie satysfakcji umieścił przy wysokich drzwiach, na ogród wychodzących, dwie ogromne klatki z dwiema papugami różnobarwnemi. Marszałek był strasznym lubownikiem papug, twierdząc zawsze:

— To zwierzę bardzo rozumne!...

Prawda, że jedna papuga krzyczała nieustannie:

— Marszałek!... marszałek!... guberski!... guberski!...

Czemu wtórowała druga, wrzeszcząc w niebogłosy:

— Graf!... graf!... graf!...

To było trzecie z kolei *pium desiderium* jaśnie wielmożnego marszałka.

(C. d. n.)

Wspomnienia z Włoch

od 1864 do 1867 r.

Zanotował

Józef Rogosz.

(Ciąg dalszy.)

V.

Jedność włoska.

—*Carissimo amico!*— rzekł raz do mnie signor Pietro M. były prefekt w Girgenti, na Sycylji— ja wysoko cenię Garibaldego, bo to dzielny człowiek, ale sprawiedliwość każe wyznać, że gdyby nie Cavour, to nasz pustelnik z Kaprery byłby sam nie wiele zrobił. Posłuchaj tylko, jak nasz dyplomata zręcznie manewrował. Oto w maju 1860 r. umawia się osobiście z Garibaldim, aby wszczął ruchawkę na Sycylji. Za pieniądze królewskie zaciąga ukradkiem ochotników, daje im broń, amunicję, najmuje dwa okręty w Genui, i tak wszystko przygotowane oddaje do dyspozycji Garibaldego. Jenerał wsiada i wypływa, zmierzając ku brzegom sycylijskim. Tymczasem w Turynie robi się wielki hałas. Sam Cavour postarał się o to, aby ajenci króla Neapolitańskiego, siedzący w stolicy Sardyńskiej dla szpiegowania stronnictwa ruchu, wczas się dowiedzieli o wyprawie Garibaldego.

— Gwałtu! — zawołał Franciszek II — jak wy postępujecie! Z waszego portu wypływają statki z awanturnikami, na których czele stoi znany brygant, Garibaldi, (reakcjoniści nie nazywają inaczej naszego bohatera) a wy przez palce na to patrzycie! Mówią mi nawet, że sam rząd Sardyński przygotowywał tę wyprawę.. Wszak to wbrew wszelkim prawom międzypaństwowym! To rozbój prawdziwy!

Na ten lament Cavour spokojnie odpowiedział, że Garibaldi urządził ekspedycję na własną rękę, że rząd Sardyński nic o niej nie wiedział, a król Wiktor Emanuel bardzo nad tem boleje, że jego szlachetny sąsiad jest tak zaniepokojony.

— Jeżeli prawdę mówicie — odparł Franciszek II — to dajcie dowód waszej życzliwości i sami złapcie Garibaldego, zanim wyląduje na Sycylji.

Cavour tylko na to czekał.

— Persano! — zawołał — przygotój kilka fregat wojennych, pędź co tchu za Garibaldim, o którym mówią ajenci króla Neapolitańskiego, że zamierza zrewoltować ziemie naszego kochanego sąsiada, weź go do niewoli, a jeżeliby się bronił, zatop go z oboma okrętami!

Tak mówił Cavour do wice-admirała floty Sardyńskiej, a mówił głośno, aby cała Europa słyszała; na ucho zaś szepnął mu coś wcale innego.

Persano kilka dni zbroił fregaty i gotował łodzie przewozowe, a tymczasem Garibaldi wylądował szczęśliwie w Marsali. Ja—ciągnął signor M.—siedziałem wtedy w cytadeli Castellamare, jako burboński więzień stanu. Takich więźniów było nas tam razem przeszło trzystu. W mieście dowodził burboński jenerał Bosco, oficer dziki, bez zdolności, a jak się później okazało i bez honoru. Jakkolwiek w cytadeli pilnie nas strzeżono, otrzymywaliśmy jednak codzień z miasta najlepsze wiadomości o wszystkiem, co się działo na wyspie. Garibaldi wylądowawszy w Marsali, chciał niezwłocznie wyruszyć do Palerma, ale ochotnicy jego, których z taką dumą nazywamy dziś *Mille di Marsala,* stchórzyli wtedy niesłychanie. Położywszy się na ziemię jak barany, ani myśleli o wojnie. Wśród takich okoliczności każdy inny byłby głowę stracił, ale nie Garibaldi. Nie widząc wojsk burbońskich, które na szczęście nie miały odwagi natychmiast nań udarzyć, co gdyby nastąpiło, ani jeden ochotnik nie byłby do domu powrócił — Garibaldi korzystając z kilkudniowej zwłoki, ani jadł, ani spał, ani odpoczywał, lecz z wytrwałością marynarzom tylko właściwą, biegał od rana do wieczora, dodając otuchy swoim, a zaciągając nowych ochotników. — *Fratello!* — krzyczał do każdego lazarona — chodź! będziesz porucznikiem! — *Cittadino!* — wołał do mieszczanina — chodź z nami, mianuję cię kapitanem! — *Italiani!* — odzywał się do ludzi wykształconych — przyczyńcie się do zbudowania Italji jednej i niepodległej, a porobię was pułkownikami i jenerałami! — Takie nominacje nie jednemu mogły by się wydać śmiesznemi, ale w rewolucji nieraz rzecz na pozór bardzo śmieszna całą sprawę zbawia. Tu stało się tak samo. Zastęp Garibaldego złożony z samych oficerów, którzy w braku żołnierzy musieli dźwigać karabiny, rósł jak na drożdżach, a gdy po trzech dniach zebrało się kilka tysięcy ludzi, *Mille di Marsala* nabrali także odwagi. Nie za wygrane bitwy wielbię przeto Garibaldego, gdyż nawet jenerał austrjacki może bitwę wygrać, ale za jego wytrwałość, przytomność i wiarę w świętość sprawy, której służy. Gdyby nie jego osobiste zabiegi po wylądowaniu w Marsali, i nie szczęśliwe dlań tchórzostwo armji burbońskiej, Franciszek II siedziałby do dziś w Neapolu...

— Daruj — przerwałem nagle panu M.— ale miałeś mi powiedzieć coś nowego o zręczności Cavoura, a zszedłeś na Garibaldego.

— *Pazienza!* Zaraz do niego wrócę... Garibaldi zebrał więc nareszcie kilka tysięcy, a pobiwszy szczęśliwie wojska burbońskie pod Calatafimi, wtargnął do Palerma dnia 27go maja. Nie długo trwało, a miasto całe było w jego posiadaniu. Żołnierze Bosca rozproszeni w ulicach cofnęli się do twierdzy Castellamare, w której, jak wiesz, i ja siedziałem. Największa praca dopiero teraz nadeszła. Bosko z cytadeli bombardował miasto najspokojniej, a Garibaldi, nie mając dział oblężniczych nie mógł mu nic zrobić. Kiedy to się dzieje w Palermie, kiedy my siedząc w kazamatach z gorączką śmiertelną oczekujemy wyniku walki, na morzu ukazuje się Persano ze swoją eskadrą zmierzając do portu. Bosco był pewny, że admirał sardyński czynnie go wesprze, lecz jakież było jego zdziwienie, gdy Persano zamiast na Garybaldczyków, zaczął rzucać bomby na twierdzę. I widocznie Persano miał doskonały plan cytadeli, gdyż po dwóch godzinach nieopodal miejsca, gdzie myśmy siedzieli, zrobił ogromny wyłom. Wtedy każdy z nas pochwyciwszy na plecy to materac, to siennik, to wreszcie cały tapczan, aby jako tako plecy zabezpieczyć, cisnął się do otworu, którego żaden żołnierz nie bronił, i czołgając się na brzuchu uciekał do miasta. Łatwo sobie wyobrazisz, jak nam było przyjemnie! Z tyłu strzelało do nas burbońskie żołdactwo, a nad głowami świstały nam kule Persana, lecące do cytadeli. Dostawszy się do Garibaldego, chwyciliśmy wszyscy za broń i szeregi jego powiększyły się znowu o kilkuset ludzi... Wkrótce potem twierdza kapitulowała. Oto jakie instrukcje dał Cavour Persanowi...

— A cóż na to król, Franciszek II?

— Płakał, skarżył się, na co Cavour odpowiedział: Persano miał rozkaz pojmać Garibaldego i byłby to z pewnością uczynił, lecz gdy jego marynarze zbliżywszy się do Palerma, zobaczyli, że najęte żołdactwo burbońskie bombarduje miasto włoskie, nie mogli obojętnie patrzeć na tę zbrodnię, i jako Włosi musieli swoich wesprzeć. Persano chciał ich powstrzymać, lecz oni wypowiedziawszy mu posłuszeństwo, na własną rękę zaczęli strzelać do cytadeli... Tak się tłumaczył Cavour, i wierz mi *caro amico*, po zwycięztwie każde tłumaczenie jest dobre.

Po zdobyciu całej wyspy, Persano dał Garibaldemu swoje łodzie, na których on przewiózł armję na brzegi neapolitańskie. Wiesz co się potem stało..."

* *
*

Garibaldi, który po wylądowaniu na Sycylji ogłosił się jej dyktatorem, zajmował prowincje i ustanawiał w nich nowy rząd w imię Wiktora Emanuela, chociaż dla jego własnej osoby entuzjazm w narodzie był tak wielki, że gdyby był chciał mógł się sam ogłosić królem neapolitańskim. Ale on tego nie uczynił: taka ambicja w jego głowie nie postała, i tem okazał, że ma duszę niepospolitą.

Cała siła zbrojna Józefa Garibaldego, zwana inaczej „armją południową" liczyła 16.000 ludzi, z których połowa zajmowała wyższe stopnie. Samych pułkowników i jenerałów miał Garibaldi do ośmiuset. Signor M. opowiedział nam pokrótce, w jaki sposób powstali ci oficerowie. Do jego słów dodam jeszcze dwa przykłady.

Jadąc w sierpniu r. 1867 z Neapolu do Rzymu, poznałem w wagonie księdza, który miał najmniej sześć stóp wysokości, a w barach pół sążnia. Gdyśmy przyjechali do wiecznego miasta i stanęli w hotelu *Minerwy*, moj towarzysz zwierzył mi się z wielką tajemnicą. Oto w Rzymie postanowił zabawić tylko dzień jeden, aby po załatwieniu najważniejszych spraw familijnych, wyjechać do Florencji.

— Cóż księdza ztąd wypędza? — zapytałem.

— Policja papieska...

— Jakto?

— *Mio amico* — odparł ksiądz tak cicho, że o pół kroku niktby go nie usłyszał — policja jeszcze mnie nie wypędza, ale ja sam uciekam przed jej czujnością. Muszę ci się przyznać, *carissimo amico*, że byłem pułkownikiem u Garibaldego...

— Ksiądz, pułkownikiem?

— Nawet rzeczywistym.... Gdy Garibaldi zajął Palermo, nie mogąc dłużej wysiedzieć w klasztorze, w którym jako mnich spędziłem bezczynnie lat piętnaście, wyrwałem się z mojej celi, a stanąwszy przed dyktatorem powiedziałem mu, że sformuję cały pułk z samych mnichów.

— „*Bravo!* — zawołał Garibaldi — mianuję cię więc pułkownikiem przyszłego regimentu!"

Tak więc otrzymałem nominację, a chociaż później powiodło mi się zebrać tylko ośmiu kolegów, byłem jednak ich pułkownikiem. W każdym razie chęci miałem najlepsze....

— I cóż potem? — spytałem zaciekawiony.

— Wziąłem udział we wszystkich bitwach, wysłałem na tamten świat bez spowiedzi kilku żołnierzy burbońskich i dwóch papieżników, a gdy Wiktor Emanuel objął prowincje południowe, a z niemi armję Garibaldego, nowy minister wojny dał mi do zrozumienia, że byłoby mu bardzo miło, gdybym wziął dymisję. Nie namyślając się długo, poszedłem za jego radą, za co otrzymałem cało-roczną pensję, jako odszkodowanie, i posadę nauczyciela przy kolegjum w Neapolu. Teraz jadę do Florencji przedstawić się ministrowi oświecenia, a że ważne sprawy kazały mi się w Rzymie zatrzymać, boję się więc niesłychanie, aby mnie nie zwietrzyła policja papieska. Zapisała ona w swojej księdze wszystkich księży, którzy sprzyjali rewolucji.... Wprawdzie mam dobry paszport, bo z nazwiskiem zmienionem, ale rzymscy ajenci mają nos jeszcze lepszy....

* *
*

Signor avvocato Pietro M. umknąwszy z cytadelli Castellamare, został przez Garibaldego mianowany prefektem w Girgenti. Ale signor Pietro miał brata, któremu na imię było Giovanni, a który nie otrzymał żadnego urzędu. W chwili gdy Garibaldi podbijał Sycylję, młody ten człowiek kończył właśnie pierwszy rok wydziału prawniczego. Po odpłynięciu dyktatora na półwysep, zastępcą jego na Sycylji został p. Crispi, znany dziś przewódzca umiarkowanej opozycji we włoskim parlamencie. Signor Pietro przypomniawszy sobie, że signor Crispi był jego szkolnym kolegą, postanowił skorzystać z nadarzającej się sposobności i wyrobić bratu dobrą posadę.

— *Carissimo amico!* — rzekł do wicedyktatora — Garibaldi mianował mnie prefektem w mojem mieście rodzinnem, ale zapomniał o moim bracie... Czy mogę ci go przypomnieć?

— Proszę, proszę... ale co on umie?

— Nic.

— To trochę za mało... Ale może uczył się czego?

— Słuchał rok prawa.

— Wybornie! Mianuję go jeneralnym prokuratorem armji sycylijskiej.

— Ależ *carissimo amico*, mój brat to młodzik dwudziestoletni, który w uniwersytecie burbońskim zaledwie nauczył się czytać i pisać. Wszak wiesz, jak tam uczono!

— Mniejsza o to! Otrzyma nominację, miesięcznie będzie brał z kasy 600 franków, sprawi sobie mundur porządny, a o resztę niech nie pyta.

Dwudziestoletni Giovanni spłakał się z radości jak bóbr. Tego samego dnia nad wieczorem otrzymał nominację; nazajutrz rano wziął pensję, a trzeciego dnia w mundurze złocistym wyszedł na przechadzkę *per far figura*. Dziewczęta uśmiechały się zalotnie do pięknego młodzieńca, a on przechadzał się poważnie jak przystało na wysokiego dygnitarza.

Szczęście jednak nie trwa wiecznie! Niestety! signor Giovanni zbyt prędko o tem się dowiedział....

Garibaldi oddając podbite królestwo Wiktorowi Emanuelowi, postawił za warunek, że wszyscy jego oficerowie zostaną w swoich stopniach przyjęci do armji włoskiej. W ten sposób Wiktor Emanuel otrzymał nagle więcej oficerów, niżeli ich potrzebował; w dodatku byli to po większej części bohaterowie chwili, nie mający wyobrażenia o wojskowości, dobrzy podczas rewolucji, ale do niczego w armji regularnej. Można sobie wyobrazić, jakie zgryzoty miał minister wojny, gdy naraz otrzymał listę, na której było przeszło 7.000 niższych oficerów, a do 800 pułkowników i jenerałów. Rozum nakazywał zaradzić złemu, a że pieniądz ma wielki urok, więc pan minister mówił każdemu na ucho, że mu da sowitą gratyfikację, jeżeli dobrowolnie zażąda dymisji. Większa połowa poszła w ten sposób w odstawkę, a tych, którzy nie chcieli pieniędzy, rząd włos. musiał rad nie rad wcielić do armji.

Od dłuższego już czasu nowy parlament, do którego został także wybrany signor Pietro M. obradował w Turynie, gdy pan minister odczytując ponownie listę oficerów i dygnitarzy Garibaldego postrzegł, że w Palermie jest niejaki Giovanni M. noszący tytuł jeneralnego prokuratora armji sycylijskiej. Chcąc poznać tę nową znakomitość, wzywa signora Giovanni, aby jak najprędzej przybył do Turynu. Jeneralny nasz prokurator jedzie do nowej stolicy z sercem ściśnionem, nie wiedząc, co go tam spotka; a gdy minister zobaczył gołowąsego prokuratora i chwilę z nim pomówił, signor Giovanni łatwo się domyślił, że zanosi się na coś złego.

— Ja na tak ważnem stanowisku dłużej pana nie zostawię — rzekł w końcu p. minister. — Podaj się pan dziś jeszcze do dymisji, gdyż rząd królewski nie może się kompromitować. Wszak pan nawet nie jesteś pełnoletnim!

— Ależ ja mam nominację od rządu Józefa Garibaldego, a król Wiktor Emanuel obowiązał się przyjąć wszystkich jego oficerów i urzędników.

— Mój panie prokuratorze, rządy rewolucyjne nie raz robią głupstwa, nie idzie jednak za tem aby władza legalna miała je wszystkie pochwalać i uznawać. Aby zakończyć niemiłą dla nas obu rozmowę, zostawiam panu dwa dni do namysłu, a jeżeli nie zażądasz dymisji, sam ją panu udzielę.

Po tak stanowczem oświadczeniu signor Giovanni ze łzami w oczach wpadł do swego brata, signora Pietro, który jako poseł miasta Girgenti zasiadał wtedy w parlamencie w Turynie.

— *Carissimo fratello!* — zawołał rzucając mu się na szyję — minister chce bym wziął dymisję.... A mnie żal sześciuset franków miesięcznie i tak pięknego munduru! Ratuj mnie, *carissimo fratell!*

— Opowiedz mi całą rozmowę z ministrem.

Giovanni powtórzył ją prawie dosłownie.

— *Cane!* — krzyknął signor Pietro — więc on śmiał powiedzieć, że Garibaldi robił głupstwa! A któż to im oddał całe królestwo? Więc oni tak dopełniają swoich zobowiązań?! Nie bój się, bracie, już ja ich nauczę rozumu!

Większość ówczesnego parlamentu składała się z posłów wybranych w prowincjach świeżo przyłączonych do Sardynji, a że rewolucjoniści dokonali przewrotu na półwyspie, więc ludność obdarzała prawie wszędzie mandatami ludzi należących do tego stronnictwa. Tym sposobem Garibaldi miał w izbie partję nadzwyczaj silną. Signor Pietro rzucił się między kolegów, i tak znakomicie poagitował, że tego samego dnia nad wieczorem miał już przeszło stu posłów, którzy przyrzekli poprzeć go w walce z ministrem wojny. Stanęło na tem, że nazajutrz signor Pietro miał wnieść w izbie interpelację względem niedotrzymywania zobowiązań poczynionych przez rząd włoski wobec Garibaldego, poczem postanowiono dać ministrowi wojny najzupełniejsze wotum nieufności. Upadek ministra, a może i całego gabinetu był zatem rzeczą niewątpliwą.

Minister jednak w czas się o tem dowiedział, a przewidując katastrofę, zaczął układać

się z signorem Pietro. Po długich rozhoworach stanęło na tem, że signor Giovanni otrzyma 8.000 franków wynagrodzenia i stopień majora w armji regularnej.

— Prokuratorem jeneralnym wojsk sycylijskich — kończył minister — brat pański żadną miarą być nie może, bo przecież sam wiesz najlepiej, że on nic nie umie, a jako major jeżli nam nic nie pomoże, to przynajmniej nie zaszkodzi. Łatwiej nauczyć się mustry, jak prawa i taktu.

— *Va bene!* — odparł signor Pietro, i zgoda stanęła.

W 1866 roku, gdy wszystkie wojska włoskie ciągnęły na północ, aby z Austrją ostatni bój stoczyć, przyszedł do Florencji także signor Giovanni M. na czele swego bataljonu. Wtedy poznałem go osobiście. Z największą obojętnością opowiedział mi historję niedługiego swego życia, którą wiernie teraz powtórzyłem. Niech się nikt nie dziwi, dla czego armja włoska została na głowę pobita pod Custozzą i Lissą. Armje nie tworzą się w kilku leciech. Wojska sardyńskie długo ćwiczone i dobrze prowadzone biły się walecznie na równinach Novarry i pod Palestro, ale armja włoska utworzona nagle z ludności, która o wojskowości żadnego nie miała wyobrażenia, (papieże i Burboni wysługiwali się zaciężnymi żołnierzami) i prowadzona przez oficerów *à la* signor Giovanni, których Garibaldi w jednym dniu stworzył, nie mogła mierzyć się z nieprzyjacielem dobrze uorganizowanym.

* * *

Mylą się ci politycy, którzy utrzymują, że język i religja będące znamionami pewnej narodowości, mogą wszędzie utworzyć jedno państwo. Ameryka północna mówi po angielsku i jest protestancką, a mimo to oderwała się od Anglji; Brazylja mówi po portugalsku i jest katolicką, a przecie nie tworzy z Portugalją jednego ciała państwowego; nakoniec południowe republiki amerykańskie mimo katolicyzmu i języka hiszpańskiego, o macierzy swojej, o Hiszpanji europejskiej, ani chcą słyszeć. Jednolite ciało państwowe tworzy się z pewnej narodowości dopiero wtedy, gdy religję i mowę wesprze położenie geograficzne. W Hiszpanji są cztery klimaty i skutkiem tego prawie cztery ludy o odrębnych charakterach. Ztąd pochodzi, że w pięknym tym kraju żadna forma rządu nie może ostać się długo. Sycylja, oderwana od półwyspu Apenińskiego, nie może także przylgnąć do swojej macierzy. Morze łączy, ale i rozdziela. Gdyby Sycylja była wysepką małą jak Korsyka, albo bagnistą i bezludną jak Sardynja, chętnie trzymała by się Italji, nie mogąc ostać się sama; ale ponieważ jest wyspą dużą, ludną i skutkiem położenia geograficznego więcej afrykańską jak europejską, więc instynktowo dąży do samoistnego stanowiska państwowego. O takiej samodzielności marzyli już Sycyljanie za Burbonów, a teraz bezustanne rozruchy na tej wyspie świadczą aż nadto dobitnie, że politycy palermitańscy mimo głośnych deklamacyj na cześć zjednoczonej Italji, myślą bez przerwy o państwie odrębnem.

Signor Pietro M. był prawdziwym Sycyljaninem. Gdym go zapytał, dla czego porzucił posadę prefekta w mieście Girgenti, odrzekł najspokojniej:

— Nie jam ją porzucił, ale rząd mi ją odebrał.

— A za co?

— Gdy wyspę zabrał Wiktor Emanuel, ja, mimo iż byłem jego prefektem, zacząłem wydawać tajny dziennik, wymierzony przeciw rządowi i prefekturze.

— Więc występowałeś przeciw sobie samemu?... Tego nie rozumiem.

— Zrozumiesz, jeżeli ci powiem, że jestem rewolucjonistą z przekonania. Ja muszę agitować przeciw każdemu rządowi. Wsadzali mnie do więzienia Burboni, wytoczył mi proces także rząd włoski, gdy mu doniesiono, że redaktorem tajnego dziennika w Girgenti jest jego własny prefekt. Takich jak ja rewolucjonistów z przekonania znajdziesz na Sycylji tysiące.

Myśl jak błyskawica przeleciała mi przez głowę.

— A gdyby Sycylja tworzyła odrębne państwo, czy nie przestalibyście myśleć o ciągłej rewolucji?

— Może...

Tem jednem słowem zdradził się Signor Pietro. Półwysep będzie już państwem dobrze uorganizowanem — a Sycylja nie przestanie się jeszcze skarżyć — i jeżli nie otrzyma samorządu, gotowa z czasem od królestwa włoskiego całkiem odpaść.

* * *

„— Przed trzema dniami byłem na Kaprerze — pisał mi Karol w lutym r. 1867 na kilka tygodni przed moim wyjazdem do Francji — i odwidziłem Józefa Garibaldego. Nie będę ci opisywał jego mieszkania i wyspy, bo Anglicy, którzy całemi stadami ciągną na Kaprerę, oddawna mnie w tem uprzedzili; podzielę się z tobą tylko dwoma wrażeniami.

Nie raz czytałem, że człowiek obcując dłuższy czas z pewnemi zwierzęty, rysami twarzy staje się do nich podobnym. Tak wyraz twarzy owczarza przypomina czasem fizjognomję owcy. Nie wiem, ile prawdy mieści się w tem twierdzeniu, ale za to po wizycie u Garibaldego mogę zapewnić, że są ludzie, którzy bywają podobni do takich nawet zwierząt, z któremi nigdy dłużej nie przebywali. Nie uwierzyłbyś, jak Garibaldi jest do lwa podobnym. Czoło, nos, policzki, nakoniec jasny zarost, wszystko przypomina w nim niesłychanie króla piasków afrykańskich. Zaledwiem nań spojrzał, powiedziałem sobie: istny lew!

Że lew jest dumnym, o tem wiedzą nawet dzieci; nie dziwię się zatem, że i Garibaldi mimo całego swego demokratyzmu, ma w sobie niemało dumy. Mnie przyjął bardzo uprzejmie, chociaż noga zraniona pod Aspromonte tak mu wtedy dokuczała, że cały dzień musiał siedzieć w fotelu; wszelako nie wiem, czy zawdzięczałem to mojej narodowości, dla której pustelnik z Kaprery okazywał zawsze sympatję, czy obecności jego przyjaciela, pana Bozzoni, w którego towarzystwie przyjechałem z Livorno. Ja więc byłem szczęśliwym, ale wcale inne przyjęcie spotkało deputata z Reggio, który właśnie podczas naszej bytności u jenerała przywiózł mu od swego miasta dyplom honorowego obywatelstwa i złoty medal na pamiątkę bitw zwycięzko stoczonych. Gdy szanowny deputat wszedł do pokoju, w którym wszyscyśmy siedzieli, i stanąwszy przed jenerałem, głosem drżącym zaczął recytować wyuczoną orację, Garibaldi, kreśląc coś ołówkiem na małym stoliczku, przytwierdzonym do poręcza fotelu, nie raczył głowy podnieść, zachowując się jak człowiek, którego takie ceremonje oddawna znudziły; a gdy orator przestawszy mówić, wręczył mu dyplom i medal, jenerał nie rzuciwszy nawet okiem na pergamin, odłożył go na bok, a patrząc na medal, rzekł szorstko:

— Ładny, dziękuję! ale powiedz pan swoim współobywatelom, że nie równie lepiej byliby zrobili, gdyby za to złoto kupili byli kilka karabinów aby papieżników z Rzymu wypędzić. *Addio!*

Jak ci się zdaje, nie była to poza?

Wiesz co, im uważniej przypatruję się życiu, tem silniej utwierdzam się w przekonaniu, które już z kraju wywiozłem, że każdy człowiek, choćby najszlachetniejszy dąży do przewagi nad drugim, a gdy cel swój osiągnie, staje się dumnym w mniejszym lub większym stopniu, stosownie do swego charakteru, wychowania i stanowiska. Bez ambicji i dumy ludzi nie ma na świecie... Komu brak tych błędów albo może cnót, ten nie jest człowiekiem. Miałożby to potwierdzać straszną teorję Darwina, którą ten myśliciel nazwał „*Walką o byt?*"

(C. d. n.)

WYCIECZKI
na współczesny Parnas francuski.

Przez
J. S. Chamca.

(*Ciąg dalszy.*)

I.
Aleksander Dumas.

Z porządku mamy przypatrzeć się bliżej komedji *Demi-Monde*.

Pod tem słowem zaimprowizowanem przez Dumas'a, a ogólnie przyjętem i do dziś dnia utrzymującem się, mimo mylnych nieraz zastosowań, trzeba było rozumieć te wszystkie kobiety, które w czemkolwiek słuszne czy niesłuszne świata przekroczywszy ustawy, w dwuznacznem względem niego stają położeniu.

Rozwódka, separatka, ta, której przeszłość splamioną została mniej lub więcej znanym skandalem, i która na plam wywabienie nie znalazła dość skutecznego roztworu; ta, która będąc żoną podrzędnego jakiegoś urzędnika, ładną buzią pobłażliwemu małżonkowi toruje drogę do łatwych promocyj, a czyni to tak jakoś niezręcznie, iż się o tem przez ścianę mieszkające dowiadują kumoszki; te wszystkie wreszcie, które Emil Augier nazywał „biednemi lwicami," a które mając rocznie np. 10.000 udowodnionego dochodu, wydają 40 lub 50.000 i tego cudownego pomnożenia dostatków nie mogą wytłumaczyć żadnym wiarygodnym pozorem — oto istoty należące do *Demi-Monde*, do „Półświatka."

Wprawdzie istnieją one bez wyjątku wszędzie, lecz nigdzie tak jak w Paryżu nie tworzą obozu liczebnie mnogiego, który wsiąkł w obyczaje towarzyskie i posiada prawo obywatelstwa.

Nic dziwnego zresztą, że stolica cywilizowanego świata w murach swych zgromadza wszystkie jego kały.

Nie prostytucja to jeszcze, bynajmniej! ale coś między nią a światem pośredniczącego, coś, co widomie już z cnotą wszelkie zerwawszy przymierze, jeszcze choć pozorne, choć nikogo oszukać nie zdolne, zachowuje jej formy.

W „Półświecie" można się często spotkać z autentycznemi nazwiskami należącemi do „śmietanki" towarzyskiej.

„Półświata“ eleganckie salony przepełnione nieraz tłumem gości, a na nich wstęgi, krzyże, gwiazdy stuborwną przed wzrokiem migają tęczą; a u jego drzwi upudrowany kamerdyner anonsuje tytuły książęce, hrabiowskie, baronowskie.

Młodzi panicze nie tylko z tem się nie tają, że bywają w tych salonach, lecz owszem wstęp do niektórych znakomitszych jest dla wielu jak gdyby oznaką wysokiego „szyku.“

Człowiek żonaty swojej tam zapewne nie poprowadzi żony (chociaż za zacnego cesarstwa i takie widziano wypadki) lecz sam idzie śmiało, otwarcie, jakby nic nie było, i z powrotem ciekawej małżonce opisuje często toalety tych nowych Aspazij, wyrokujących o modzie.

Ktoś, coby tam po raz pierwszy wejść zapragnął, musi się wprzód o przyzwoitego postarać przedstawiciela, gospodyni zyskać pozwolenie, wreszcie włożyć frak i białe rękawiczki.

Jednem słowem, to świat cały, pod względem form zewnętrznych, etykiety i pozorów; to świat cały, który się tylko otwarcie wyparł moralnych towarzystwa fundamentów, którego zdrowa część społeczności odpycha od swego łona, i który jej za to śmiertelną płaci nienawiścią i zaciętą a nieraz nawet zwycięską wydaje wojnę.

Oto płótno na którem Aleksander Dumas nakreślił szeroki plan swej udatnej komedji.

Jak widzicie kopalnia bogata, bo nie braknie tu materjałów, ani smętnych i dramatycznych, ani wesołych i komicznych.

Zobaczymy teraz, jak ich użyć potrafił.

Oto treść komedji:

A prawda! Wypada nam jeszcze zrobić jedną przygotowawczą uwagę.

Epoka, w której Dumas pisał swoją komedję (1854—1855) jest początkiem drugiego cesarstwa, epoką, która jeszcze nosiła na sobie ślady czasów Ludwika Filipa, a więc bardziej mieszczańskich, oszczędniejszych i względnie cnotliwszych. Orgja Napoleońska nie miała jeszcze kiedy rozwinąć się w całym swoim blasku. Ztąd niektóre szczegóły w komedji, oku przyzwyczajonemu do późniejszych rozmiarów bezwstydu, mogłyby się śmiało wydać za słabe i jako niedokładnie rzecz malujące. Dla starcia z malowidła tych znamion, trzeba, że tak powiem, patrzeć na obraz przez silnie powiększającą lornetkę; trzeba cyfry pomnożyć przez dziesięć; bohaterom i bohaterkom ująć połowę ich skrupułów, a tego co się na samej błota zatrzymał krawędzi, trzeba w błocie zanurzyć po szyję!...

Uwaga ta doskonale pozwala się zastosować do wielu sztuk owoczesnych.

W *Mercadet* naprzykład, w tem arcydziele Balzaka, główny typ oszusta i spekulanta postawiony przy niektórych figurach cesarstwa, jeśli względem niego nie użyjemy powyższej recepty, może nam się wydać uczciwym człowiekiem. I zamiar autora nie trafi do celu.

A teraz wracamy do treści.

Baronowa Zuzanna d' Ange utrzymuje jeden z bardziej błyszczących salonów „Półświata.“

Protegowana przez Margrabiego de Thonnerins, który jakkolwiek zerwał już czulsze z nią niegdyś stosunki, dostarcza jej jeszcze rocznie 15.000 franków dochodu; protegowana może i przez wielu innych, których nazwiska i postacie jako mniej dla sztuki potrzebne w przyzwoitym gdzieś zostają cieniu — Baronowa d' Ange młoda, piękna i bogata(!) należy do pierwszorzędnej arystokracji *sui generis*.

Po modnych co lata włócząc się zdrojowiskach, w Badenie (jeśli się nie mylę) jednego sezonu spotyka naiwnego, romansowego i na prowincji wychowanego młodzieńca, nazwiskiem Rajmond de Nanjac.

Ten się w niej po uszy zakochuje i nieświadomy jej burzliwej przeszłości, z matrimonjalnemi, *comme de raison*, występuje przed nią propozycjami.

W duszy każdej tego rodzaju kobiety, powiada Dumas w przedmowie, drzemie chęć wrócenia na łono odpychającego ją towarzystwa; drzemie chęć wciśnięcia się, choćby przebojem, pod pokrywką nazwiska mężowskiego, w grono tych cnotliwych niewiast, których niezaprzeczona socjalna wyższość nie raz jej w dotkliwy dla miłości własnej daje się odczuwać sposób.

Wyjść za mąż! Znaleźć człowieka nieskalane noszącego nazwisko, a mającego dość filozofji lub naiwności, któryby świadomy rzeczy, lub nie, aktem formalnym i w obliczu prawa podpisanym, splamioną jej przeszłość od czystszej *in spe* odgrodził przyszłości! Z dziesięciu tych pań rozporządzających sobą, dziewięć o niczem więcej nie marzy....

Ambicja to jak widzicie naturalna i piękna, lecz do uskutecznienia trudna, i dla tego w rzadkich tylko spełniająca się wypadkach.

Baronowa d' Ange, niby wdowa, dostrzegając w panu de Nanjac taki do swej roli dobrze usposobiony parawanik, i taką bezwiedną odkupienia kotwicę — namiętnie, zapamiętale, oburącz się jej chwyta.

Na sprycie i na zdolnościach do intrygi wcale jej nie zbywa.

Sfabrykować papiery konstatujące egzystencję i śmierć barona d' Ange, skierować pretendenta, pana de Nanjac, po informację do przygotowanego ku temu jej listem margrabiego de Thonnerins, który jest niby przyjacielem jej rodziny; pod jakimś romantycznym pozorem przyśpieszyć powrót do Paryża i potajemnie ślub z nim zawrzeć, wszystko to dla jejmości jest dziełem jednej chwili, i wszystko nadspodziewanie łatwo się jej udaje.

Z wyjątkiem naturalnie ostatecznego aktu zaślubin, który, nie pomnę już dla czego, spóźnia się o parę tygodni. (C. d. n.)

OSTATNI Z ROMANOWYCH.

Oryginalne pamiętniki z czasów carycy, Katarzyny II.

(Ciąg dalszy.)

IV.

Katarzyna tak mocno obraziła się niedowierzaniem Francuza i jego systemem zwlekania, oraz zamiarem uczynienia ją wdzięczną dworowi francuskiemu, którym pogardzała, że nie raczyła mu dać żadnej odpowiedzi. Bretel napróżno wyczekiwał przez kilka dni Odarta, poczem wyjechał do Wiednia, gdzie dowiedziawszy się o powodzeniu zamachu, otrzymał od swego rządu rozkaz, aby natychmiast wrócił do Katarzyny. Oto jak pomógł spiskowi, z czem lubił później chełpić się we Francji. Co zaś do samej pożyczki, doradzanej przez Daszkową, to chcąc dowieść Bretelowi, że i bez jego łaski potrafi się obejść, Katarzyna kazała po jego wyjeździe doręczyć zastępcy posła francuskiego p. Berengerowi następującą kartkę: „Potrzebny zapas będę miała prędzej i taniej, i dla tego nie potrzebuję go teraz.“

W istocie zaś położenie Katarzyny było okrutne; bała się aby nie odkryto spisku i nie uprzedzono jej, poczem niewątpliwie pozbawionoby ją godności carskiej, zamykając na wieki do więzienia; co zaś nadewszystko dręczyło ją, to stan poważny i oznaki bliskiego rozwiązania. Wszystkie jej starania, aby ukryć swój stan przed oczami wrogów, okazały się bezowocnemi. Piotr został zawiadomiony nawet o godzinie, kiedy rozwiązanie nastąpi. Car w oznaczonym czasie stawił się w sypialni carowej, ale Katarzyna odbyła szczęśliwie słabość przed dwiema godzinami i siedziała właśnie w fotelu, na którym powiła syna, hrabiego Aleksego Grzegorzowicza Bobryńskiego. Piotr zmylony udaną swobodą i spokojem swojej żony, pomyślał, że ją obmówiono, a wycedziwszy przez zęby kilka nic nie znaczących komplimentów, pożegnał ją i wrócił do Petersburga. Z powrotem oddał się jeszcze huczniejszym zabawom, ale mimo to nie zapominał ani o losie nieszczęśliwego Jana, ani o wojowniczych obradach. W wielkiej tajemnicy kazał sprowadzić więzionego księcia z Keksholmu do maleńkiego domku w Petersburgu, dokąd nocami przyjeżdżał wraz z Hudowiczem i Wołkowym.

Flota przeciwko Danji była już gotową; połowa jej stanęła koło Rewla a druga w Kronsztacie, i pułki, które miały wziąć udział w wyprawie, znajdowały się bądź w Pomeranji, bądź już były w marszu. Piotr gotował się objąć dowództwo nad armją, mającą odebrać przemocą Holsztyn, przyczem najwięcej uśmiechała mu się myśl, że przy tej sposobności będzie mógł uścisnąć swego przyjaciela, brata i mistrza, Fryderyka W. W oczekiwaniu tego szczęścia, traktował z największem wyszczególnieniem jego posła, tak dalece, że to naprzykrzyłoby się nawet samemu królowi, lecz br. Holtz był młodym i dla tego lubił korzystać z łaski carskiej.

Nareszcie Piotr wyznaczył na miejsce obchodu uroczystości Piotra i Pawła Peterhof, a nazajutrz po wyjeździe do armji, miano uwięzić carowę; lecz Katarzyna postanowiła go uprzedzić, a jej spólnicy oczekiwali tylko na sposobną chwilę, którą im wkrótce wypadek nastręczył.

Przystępujący do spisku, okazują prawie zawsze większą gorliwość od tych, przeciwko którym spisek został uknutym. Tak samo i tu się stało. Spólnicy Katarzyny najstaranniej dowiadywali się o wszystkiem, co się działo u cesarza, gdy tymczasem jemu nawet do głowy nie przyszło zajrzeć, co się dzieje u jego małżonki. Na jakiś czas przed Piotrem i Pawłem, car z właściwą sobie niedorzeczną nieoględnością, udał się na zabawy do Oranjenbaumu, dokąd zaprosił najpiękniejsze damy dworu. Korzystając z tego, przeciwnicy natychmiast rozpuścili pogłoskę, że zamiarem jego było rozwieść je z mężami i powydawać za innych dworzan. Obawa przed takim czynem narobiła carowi niemało nowych nieprzyjaciół, którzy natychmiast zaciągnęli się do obozu Katarzyny.

Zamiarem spiskowych było schwytać cara podczas jego powrotu do Petersburga, lecz wkrótce okazało się, że myśl była niebezpieczną, i że daleko lepiej wypadnie, jeżeli się to stanie podczas jego wjazdu do Peterhofu. Projekt ten znalazł ogólne poparcie i został przyjęty; każdy

ze sprzysiężonych liczył na własną odwagę i wierność swoich przyjaciół. Wtem spisek został nagle odkrytym. Odkrycie było przypadkowe i jakimś cudem, zamiast zaszkodzić, dopomogło tylko do prędszego i pomyślnego rozwiązania katastrofy na korzyść sprzysiężenia.

Z braku zaufania, czy też przez zbytek ostrożności, ks. Daszkowa i Odart dodali każdemu z naczelników spisku potajemnych ajentów, którzy śledzili każde ich poruszenie, tak, że w razie, gdyby który zdradził, natychmiast można było pomyśleć o bezpieczeństwie osób interesowanych, a nawet o zemście. Passek namówił niemal wszystkich żołnierzy swojej kompanji, lecz jeden sierżant sądząc, że wszystko się dzieje w porozumieniu z kapitanem, poszedł zapytać, którego dnia mają być gotowi do wystąpienia przeciwko carowi. Kapitan mimo całego swego zdziwienia, nie tracąc przytomności dał pytającemu wymijającą odpowiedź, a tymczasem pospieszył sam do pułkowej kancelarji, aby zawiadomić o odkrytej tajemnicy.

O dziewiątej wieczorem Passek został uwięzionym, lecz osadzono go w takim pokoju, gdzie znalazł kawałek papieru, na którym napisał ołówkiem: „Natychmiast zaczynajcie, albośmy wszyscy zgubieni.“ Ajent, który go śledził, wśliznął się do niego; chociaż Passek go nie znał, czując jednak, że na wszystko trzeba się będzie zdecydować, oddał mu kartkę, polecając, aby bezzwłocznie doręczył ją hetmanowi Razumowskiemu, za co otrzyma sowitą nagrodę. Szpieg poleciał co tchu do ks. Daszkowej i oddał jej kartkę. W tym samym czasie nadjechał do niej Panin, którego księżna zaczęła namawiać do pośpiechu, dając mu do zrozumienia, że jedno tylko przyspieszenie może ich ocalić od zemsty cesarza, i że jakkolwiek Piotr jest słabym, zawsze znajdzie w sobie jeszcze tyle siły, że na przyszłość musi zniknąć wszelka nadzieja zrzucenia go z tronu. Panin może dla tego, że nie zupełnie wierzył w powodzenie, a może mu brakło odwagi koniecznej do rozpoczęcia czynu, dość że nie zgadzał się z księżną i doradzał zwłoki mówiąc:

— Ranek jest lepszym doradzcą od wieczora.

Tymczasem szpiegi księżnej Daszkowej mieli czas zawiadomić innych sprzysiężonych; niezwłocznie po wyjeździe Panina przebrała się ona w strój męzki i poszła na schadzkę z Orłowym do Sinego mostu, koło którego dla jego odległości zbierano się codziennie.

Zgromadzeni w tem miejscu sprzysiężeni, przestraszyli się nielada, usłyszawszy o aresztowaniu Passka, i zgodnie z księżną postanowili przyspieszyć wykonanie zamachu. Czekać do następnego dnia zdawało się dla wszystkich zgubnem, żeby więc nie dopuścić, aby car opanował wojsko i skupił naród dokoła siebie, wypadało rozpocząć działanie jeszcze tej samej nocy. Projekt został zatwierdzony przez wszystkich jednogłośnie, i w tym samym czasie, gdy Grzegorz Orłow ze swoim bratem Włodzimierzem i przyjacielem Bibikowym rzucili się do koszar, by przygotować żołnierzy, Aleksy Orłow przyjął na siebie najniebezpieczniejszą missję, sprowadzenia carycy z Peterhofu.

Pod pozorem przygotowań do uroczystości, Katarzyna przeniosła się z zamku do odległego pawilonu, znajdującego się przy kanale wychodzącym do Newy, koło którego niby bez namysłu kazała ustawić łódkę, służącą nie tylko do ułatwiania potajemnych schadzek, lecz mogącą także w razie niebezpieczeństwa przewieść ją na szwedzkie wybrzeża. Grzegorz Orłow dając bratu klucz od pawilonu, nauczył go, jak się może do niej dostać. Księżna Daszkowa prócz tego wręczyła mu kartkę, w której krótko i bez objaśnień prosiła Katarzynę, aby natychmiast przyjeżdżała. (C. d. n.)

PRZYPADEK.

Z poezji

Pawła Bourcet

La vie inquiète)*

Spotkałem ją raz przypadkiem
Nad brzegiem strumienia,
Pod niebem — jak skroń jej gładkiem,
Modrem — jak spojrzenia.
Na czeremchy maj dokoła,
Puch sypał gołębi:
Dymy ojczystego sioła.
Błękitniały w głębi.
Świat się mienił jak obrazek
Ładnego wydania,
Tych czarownych bajek, skazek,
Co je prawi niania.
Gaje brzmiały pełne głosów,
Kapela wesoła:
Z fletu żółn, z klarnetu kosów,
Z basetli dzięcioła.
Jak w panieńskim buduarze
Kwietnych smugów wonie,
Jakimś czarem, niech Bóg skarze!
Odurzały skronie.
Nie dziw więc, że gdym przypadkiem
Spotkał ją w parowie,
Że gdym spojrzał w nią ukradkiem,
To mię przeszło mrowie...
I przykląkłem, o, mój Chryste!
Skąd mi takie śmienie?
Jam jej gładkie, potoczyste,
Palnął oświadczenie...
Jam jej szepnął: kochać trzeba,
Bo wszystko dokoła,
Od łąk, borów, aż do nieba
— „Kochajcie się!“ woła.

* * *

Ona na to uśmiechnięta,
Niezmięszana wcale,
Skrzyżowała swe rączęta,
Na piersi wspaniale.
I mierząc mię dumnym wzrokiem,
Jak sędzia ofiarę,
Zrazu w milczeniu głębokiem
Stała chwilek parę.
Poczem, zwolna i bez gniewu,
Choć zwięźle i krótko,
(Głos mi jej od ptasząt śpiewu
Czystszą zdał się nutką)
Rzekła: „— Młody kawalerze!
Uczuć nie poślubię,
I afektom nie uwierzę,
Aż chyba po próbie.
Oto strumień. Nie głęboki!
Błotnisty po trosze,
Tam, napowrót, we dwa skoki,
Przesadzić go proszę!
Nie taję mu mych pobudek...
Na przeciwnej stronie.
Do tych ślicznych niezabudek
Nie sięgną me dłonie,
Chciałabym ich mieć wiązankę,
Znasz kobiet kaprysy?
Rwąc więc kwiat, uszczkniesz kochankę...
Otwarte popisy!“

* * *

A strumień miał w swej średnicy
Dwa sążnie na oko.
Może nie dla latawicy?
Dla mnie — za szeroko!
A strumień miał brzegi strome...
W tamten, kwiatem kryty,
Oczy wlepiwszy łakome,
Stałem gdyby wryty.
Lecz gdym kwapił się z protestem,
Z perswazji wymową,
To ona przeczącym giestem
Cofnęła mi słowo.
I tam pokazując kwiaty,
Tutaj pierś swą białą,
Szepnęła: — „Skacz mój skrzydlaty!
Czekam cię... Skacz śmiało!“

. . . .

Cóż chcecie? Nie było rady —
Miłość, a wstyd znowu,
Sprawiły, że chociaż blady
Podbiegłem do rowu!

* * *

Tam — nic jeszcze... Los mię szczędzi,
Wytężając siły,
Do przeciwległej krawędzi
Stopy me dobiły;
Lecz napowrót... z kwiatów pękiem,
Bez ruchów swobody,
Nie mogłem . . . .
. . . i z głuchem jękiem,
Buch! Wpadłem do wody!

* * *

Wielem minut, wieków wiele
Leżał tam w rozpaczy,
Poplątany w wodne ziele?
Bóg to wiedzieć raczy!
Co strąceni aniołowie
W otchłaniach cierpieli,
Tom ja, w dubelt, w moim rowie,
W chłodnej zniósł kąpieli.
Była chwila, wyznać muszę,
Żem myślał w istocie
Samobójstwem splamić duszę,
Nurka dając w błocie.
Żem prosił brzegów strumienia,
By nad mojem czołem
W smętne mogiły sklepienia
Zawarły się społem.
I gdy wreszcie, po rozwadze,
(Wcześniej by rozwagi!)
Odzyskałem w rękach władzę,
W sercu skrę odwagi;
Gdym się dźwignął, gdym z mej toni
Wybrnął na ląd stały,
Jak wód bożek, w przykrej woni
Umazany cały —
Gdym ku nieszczęściu mych przyczynie
W zabłoconem ręku
Chciał wyciągnąć kwiatki sinie,
Resztki mego pęku;
To ujrzałem ją zdaleka,
Na drodze do sioła,
Jak śpiewając w dal ucieka
Swobodna, wesoła!
Tom dosłyszał piosnek nuty,
Przeplatane śmiechem,
Jak drwiąc miejsca mej pokuty
Dobiegały echem!

* * *

Czas leci... i od tej chwili
Zbiegło go nie mało.
Sporo bąków, moi mili,
W życiu się spłatało.
Sporo rozczarowań serjo,
Kozłów, nie na żarty,
Życia tego, o mizerjo!
Wykazują karty...
Cóż powiecie? ten dziedzięcy,
Niewinny, głupiutki,
Utkwił w myśli mi najwięcej,
Najlepsze miał skutki.
O! bo odtąd, gdy poczuję,
Że mi się do serca,
Niech ją Pan Bóg sekunduje!...

---

*) Poezje Pawła Bourget są dziś we Francji powszechnie czytane; dla tego dajemy z nich próbkę, aby polska publiczność przekonała się, jakie są teraz gusta publiczności francuskiej.

Chęć romansów wwierca.
Zaraz spieszę do izdebki,
I z pod straży kłódek,
Z starej wyjmuję torebki,
Garstkę niezabudek.
Patrzę na nią — szczypta prochu —
Rozbudzam wspomnienia,
Wnet przedemną się, w popłochu,
Przeszłość odzielenia.
Widzę wszystko tak, jak było,
Obrazek ot cały,
Z dawniejszą odczuwam siłą,
Dawniejsze me szały
Słyszę głos jej jak mi dzwoni:
„Skacz! Miłość poślubię!“
Skaczę! Buch! . . .
. . . i w błotnej toni
Chęć romansów gubię!

Paryż d. 10 lipca 1875. Naśladował

J. S. Chamiec.

Tajemnicza Wyspa

przez

JULJUSZA VERNE

przełożył z francuskiego J. Pł...

Opuszczony.

(Ciąg dalszy.)

Rozdział VI.

(Wołanie Pencroffa. — „Noc w dymnikach“. — Strzała Harberta. — Projekt Cyrusa Smitha. — Niespodziewane rozwiązanie. — Co się działo w Pałacu Granitowym. — W jaki sposób nowy służący wszedł w służbę osadników.)

Cyrus Smith stanął nie rzekłszy ani słowa. Towarzysze jego macali w ciemności wzdłuż muru, w przypuszczeniu, że może wiatr zmienił położenie drabinki, tudzież po ziemi, na wypadek, gdyby urwawszy się, spadła... Lecz nie było śladu drabinki. Przekonać się zaś, czyli przypadkiem wicher nie podniósł drabinki do pierwszego przestanku w połowie ściany granitowej, w noc tak ciemną było niepodobieństwem.

— Jeśli to żart, zawołał Pencroff, to zły żart! Przyjść do siebie i nie znaleść wschodów do własnego mieszkania, to zaiste nie pobudzi wcale do śmiechu ludzi strudzonych jak my!

Co się tyczy Naba, ten gubił się w samych wykrzyknikach.

— Przecież wiatru nie było! zauważył Harbert.

— Zaczynam być zdania, że na wyspie Lincolna dzieją się dziwne rzeczy! rzekł Pencroff.

— Dziwne? odparł Gedeon Spilet, wcale nie, Pencroffie, nic naturalniejszego pod słońcem. Ktoś przyszedł podczas naszej niebytności, wziął w posiadanie nasz pałac i ściągnął drabinkę!

— Ktoś! zawołał marynarz. Ale kto taki?...

— Nikt inny, tylko właściciel owego ziarnka śrótu, odparł korespondent. Od czegoż by był, jeśli nie od tego, ażeby wyjaśnić nam dzisiejszy nasz wypadek?

— Dobrze więc, odparł Pencroff klnąc, gdyż zniecierpliwienie zaczęło brać nad nim górę, jeśli tam jest kto na górze, ja go zaholuję, a radzę mu odpowiedzieć.

I głosem jak grzmot potężnym huknął marynarz przeciągłe: Ohe! które silnem echem odbiło się od skał.

Osadnicy wytężyli słuch i zdawało im się, że z wyżyn Pałacu Granitowego doszedł ich jakiś śmiech szyderczy, lecz z czyich ust tego rozpoznać nie mogli. Żaden głos jednak nie odpowiedział na wołanie Pencroffa, który bezskutecznie powtórzył jeszcze kilkakrotnie swe wezwanie.

Zaiste, wypadek ten mógł wprawić w zdumienie ludzi najobojętniejszych nawet, a osadnicy nasi obojętnymi być nie mogli. W ich położeniu każde zdarzenie miało pewną wagę, a z pewnością od siedmiu miesięcy, przez które zamieszkiwali wyspę, żadne zdarzenie nie było tak niespodziewanem i zdumiewającem.

Bądź co bądź opanowani dziwacznością tego wypadku, zapomniawszy o znużeniu, stali u podnóża Pałacu Granitowego, nie wiedząc ani co myśleć, ani co począć, zadając sobie wzajemnie pytania, na które żaden nie był w stanie odpowiedzieć, i mnożąc w nieskończoność przypuszczenia, jedne najnieprawdopodobniejsze od drugich. Nab nie przestawał narzekać, mocno zrozpaczony tem, że nie mógł dostać się do swej kuchni, tem bardziej że podróżne zapasy już się były wyczerpały, a w tej chwili nie sposób było je odnowić.

— Przyjaciele moi, odezwał się wówczas Cyrus Smith, pozostaje nam tylko jedno, czekać dnia, a potem począć sobie stosownie do okoliczności. Lecz idźmy oczekiwać go w „dymnikach“. Tam będziemy bezpieczni, a nie mając co jeść będziemy przynajmniej mogli spać.

— Ale kto to mógł być ów zuchwalec, co nam spłatał tego figla? zapytał raz jeszcze Pencroff, który w żaden sposób nie mógł się uspokoić.

Kto bądź był ów „zuchwalec“, nie pozostawało im nic, jak tylko stosownie do rady inżyniera, udać się do „dymników“ i tam oczekiwać dnia. Na wszelki wypadek dano rozkaz Topowi, ażeby pozostał pod oknami Pałacu Granitowego, a kiedy Top otrzymał jaki rozkaz, spełniał go zawsze, nie pytając wcale o powód. Dzielny pies pozostał zatem u stóp ściany granitowej, podczas gdy pan jego z towarzyszami schronili się między skały.

Byłoby pogwałceniem prawdy twierdzić, że osadnicy pomimo znużenia, spali dobrze na piasku w „dymnikach“. Nie tylko bowiem mocno musieli być zaniepokojeni, pojmując dokładnie ważność tego nowego zdarzenia, czy ono było dziełem ślepego przypadku, którego przyczyny odkryć mieli z nadejściem dnia, czy też dziełem ręki ludzkiej, lecz także było im bardzo źle leżeć. Jak bądź jednak miały się rzeczy, tak czyli też owak, mieszkanie ich było w tej chwili zajęte przez kogo innego i dostać się do niego nie mogli.

Owóż Pałac Granitowy był dla nich więcej niż schronieniem, bo był ich składem, ich magazynem. W jego murach złożony był cały materjał osady, broń, instrumenta, narzędzia, amunicja, zapasy żywności i t. p. Gdyby to wszystko miało być zrabowanem, osadnicy musieliby na nowo zaczynać całe gospodarstwo, kuć na nowo broń i narzędzia. Była to więc rzecz nie małej wagi! To też dręczeni niepokojem jeden po drugim wychodzili co chwila, ażeby przekonać się, czy Top pilnie odbywa straż. Cyrus Smith sam jeden zachował zwykłą swą cierpliwość, pomimo że uporny jego umysł burzył się niepomału, trafiwszy na zdarzenie, którego w żaden sposób nie umiał sobie wytłumaczyć, i pomimo że wzdrygał się na myśl, że tuż koło niego, a może tuż nad nim, odbywało się coś, czemu nie umiał dać właściwej nazwy. Gedeon Spilett podzielał w tej mierze zupełnie jego zapatrywanie, i obaj kilkakrotnie, jakkolwiek półgłosem, poczynali roztrząsać owe niewyjaśnione okoliczności, w obec których cała ich przenikliwość i doświadczenie okazały się bezsilnemi. Nie podpadało wątpliwości, że wyspa ta kryła jakąś tajemnicę, ale jak ją przeniknąć? Co do Harberta, ten potrafił tylko gubić się w domysłach i chętnie byłby zapytał Cyrusa Smith. Co się tyczy Naba, ten powiedział sobie w końcu, że to go nic obchodzi, że to jest rzeczą jego pana, i gdyby się nie był obawiał urazić tem swoich kolegów, poczciwe murzynisko byłoby spało tej nocy z równie czystem sumieniem jak na swojem łóżku w Pałacu Granitowym!

Wreszcie najwięcej ze wszystkich wściekał się Pencroff i nie bez racji wrzał wielkim gniewem.

— To figiel, mówił, ktoś nam figla spłatał! Ale ja, ja nie lubię figlów i biada figlarzowi, jeśli wpadnie w moje ręce!

Zaledwie pierwszy brzask zaświtał na wschodzie, osadnicy nasi uzbrojeni należycie, udali się na brzeg morza, gdzie się wznosiły rafy. Pałac Granitowy, na który słońce wschodzące pierwsze rzucało promienie, musiał niebawem rozjaśnić się świtaniem porannem, i w samej rzeczy przed godziną piątą, okna, w których spuszczone były okiennice, ukazały się przez zasłonę z zieleni.

Z tej strony wszystko było w porządku, lecz wkrótce z piersi osadników dobył się krzyk na widok otwartych na oścież drzwi, które przecież na odchodnem byli szczelnie zamknęli.

Ktoś zagospodarował się w Pałacu Granitowym. To już nie podlegało najmniejszej wątpliwości.

Górna drabinka, sięgająca od drzwi aż do środkowego przestanku, wisiała na swojem miejscu, lecz dolna drabinka była wyciągniętą w górę aż do samego progu. Zbyt oczywistem było, że nieproszeni goście chcieli ubezpieczyć się przed nagłym napadem.

Nie podobna było jeszcze rozpoznać ich rodzaju i liczby, żaden z nich bowiem nie pokazywał się.

Pencroff zaholował na nowo.

Żadnej odpowiedzi.

— A to draby! zawołał marynarz. Śpią sobie spokojnie, jakby byli u siebie! Ohe!... Zbóje, bandyci, korsarze, plemię John Bulla!

Gdy Pencroff, w swym charakterze jako Amerykanin, tytułował kogo „plemieniem John Bulla,“ to był to znak, że posunął się do ostatecznych granic grubjaństwa.

W tej chwili rozjaśniło się zupełnie i fasada Pałacu Granitowego zabłyszczała od promieni słonecznych. Lecz tak zewnątrz jak wewnątrz wszędzie było cicho i spokojnie.

Osadnicy nasi zapytywali sami siebie, czyli Pałac Granitowy jest przez kogo zajęty lub nie, lecz położenie drabinki świadczyło o tem wyraźnie, i nie podlegało nawet wątpieniu, że najeźdźcy do jakiegokolwiek należeli rodzaju, uciec w żaden sposób nie mogli. Lecz jak się dostać do nich?

Wtedy Harbert wpadł na myśl, ażeby przywiązać postronek do strzały i wycelować ją tak, ażeby przeleciała pomiędzy pierwsze drążki u drabinki wiszącej u progu drzwi. Wówczas możnaby było ściągnąć tym postronkiem drabinkę na dół i przywrócić komunikację między dołem a górą. Innego sposobu nie było, a przy trochę zręczności, środek ten udać się musiał. Na szczęście

łuki i strzały złożone były w „dymnikach“ w jednym z kurytarzy, gdzie znajdowało się także z jakie dwadzieścia sążni lekkiego sznura wyplecionego z gałązek hibiskuszu. Pencroff rozwinął ten sznur i jeden koniec przymocował do strzały nasadzonej porządnie piórami. Poczem Harbert, napiąwszy strzałę na łuk, mierzył z wielką uwagą w sam zwisający koniec drabinki.

Cyrus Smith, Gedeon Spilett, Pencroff i Nab cofnęli się nieco w tył, tak by mogli uważać, co się działo w oknach Pałacu Granitowego. Korespondent przyłożywszy karabin do oka, mierzył prosto w drzwi.

Po chwili strzała świsnęła, pociągając za sobą sznur, i przeleciała pomiędzy ostatnie dwa szczeble drabinki.

Plan powiódł się zupełnie.

Harbert uchwycił natychmiast za koniec sznura, lecz w chwili gdy szarpnął nim by strącić na dół drabinkę, ręka jakaś przesunęła się w mgnieniu oka między murem a drzwiami, chwyciła drabinkę i wciągnęła ją do środka Pałacu.

— A to łotr nad łotrami! zawołał marynarz. Jeśli cię kula potrafi uszczęśliwić, niedługo na nią poczekasz.

— Ależ kto to taki? zapytał Nab.

— Kto? nie poznałeś?...

— Nie.

— Ależ to małpa, makak czy kucyk, koczkodan czy orangutan, pawian, goryl czy plucha! Dom nasz najechały małpy, wdrapawszy się doń po drabince podczas naszej niebytności!

I w tej samej chwili jakby na potwierdzenie słów marynarza, odsunęły się okiennice i w oknach pokazały się trzy lub cztery małpy, które powitały prawych właścicieli domu tysiącem wykrzywiań i grymasów.

— Ja wiedziałem, że to figle! zawołał Pencroff, ale zaraz tu jeden z figlarzy zapłaci za resztę!

I w jednem okamgnieniu marynarz wymierzywszy strzelbę na małpy, dał ognia. Znikły wszystkie prócz jednej, która śmiertelnie ugodzona spadła na piasek.

Małpa ta wysokiego wzrostu należała do pierwszego rzędu czwororękich, w tym względzie nie zachodziła najmniejsza wątpliwość. Czy to był szympans, czy orangutan, goryl czy pawjan, w każdym razie należała ona do rzędu antropomorfów, nazwanych tak dla podobieństwa swego do istot rodzaju ludzkiego.

Harbert zresztą oświadczył, że był to orangutan, a jak wiadomo, chłopak ten znał się na zoologji.

— Wspaniałe zwierzę! zawołał Nab.

— Niech ci będzie wspaniałe, jeżeli chcesz! odparł Pencroff, ale ja zawsze jeszcze nie wiem, jak my się dostaniemy do domu!

— Harbert ma celne oko, rzekł korespondent, oto jest łuk! Niech próbuje na nowo.

— Dobrze, ale te małpy są sprytne! zawołał Pencroff i nie pokażą się drugi raz w oknach i my nie będziemy ich mogli wystrzelać, a kiedy sobie pomyślę, jakiege spustoszenia mogą narobić w pokojach i w magazynie, to...

— Cierpliwości, odparł Cyrus Smith. Te zwierzęta nie potrafią nas długo trzymać w szachu!

— Co do mnie, dopóty nie będę tego pewnym, dopóki ich nie ujrzę tu na ziemi, odparł marynarz. A zresztą alboż pan wiesz, panie Smith, ile tuzinów filutów znajduje się tam na górze?

Na to nie było co odpowiedzieć, a co się tyczy ponownej próby Harberta, i ta nie łatwą była do wykonania, górny bowiem koniec drabinki wciągnęły małpy do środka, a kiedy powtórnie zaczęli ciągnąć za sznur, sznur pękł a drabinka mimo to nie spadła na dół.

Położenie było zaprawdę kłopotliwe; Pencroff wściekał się. Całe to zdarzenie miało swą stronę komiczną, której on wcale śmieszną nie znajdował. Oczywiście osadnicy musieli w końcu zdobyć na powrót swe mieszkanie i wypędzić najezdników, ale kiedy i jak, tego sami nie wiedzieli.

Minęły dwie godziny a małpy nie pokazywały się więcej; lecz ustąpić nie myślały wcale, i trzy lub cztery razy przez drzwi lub okno wysunął się pysk małpi lub łapa, powitane każdym razem strzałami.

— Ukryjmy się rzekł inżynier. Małpy będą może myślały, żeśmy odeszli i pokażą się znowu. Spilett z Harbertem niech czatują z za skał i strzelają na wszystko, co się tylko pojawi.

Usłuchano rozkazu inżyniera, i podczas gdy korespondent z Harbertem, najcelniejsi dwaj strzelcy z całej osady, ustawili się na dobrą metę, lecz tak, by ich małpy nie widziały; Nab, Pencroff i Cyrus Smith, wyszedłszy na terasę, udali się tymczasem do lasu, by ubić jaką zwierzynę, gdyż czas śniadania już był nadszedł, a żywności nie było żadnej.

W pół godziny myśliwi powrócili, niosąc kilka gołębi skalnych, które upieczono na prędce. Przez ten czas nie pokazała się ani jedna małpa.

Gedeon Spilett z Harbertem udali się na śniadanie, a Top tymczasem czuwał pod oknami. Zjadłszy śniadanie, powrócili na swe stanowiska.

Upłynęły tak dwie godziny a położenie nie zmieniło się w niczem. Małpy nie dawały żadnego znaku życia, możnaby było sądzić, że znikły, lecz daleko prawdopodobniejszem zdawało się, że przestraszone śmiercią jednej ze swych koleżanek, spłoszone strzałami, siedziały cicho w pokojach a może i w magazynie. A kiedy osadnikom naszym stanęły w myśli skarby zawarte w magazynie, cierpliwość zalecana tak gorąco przez inżyniera zamieniła się w gwałtowne rozdrażnienie, i prawdę mówiąc, mieli po temu powód.

— Doprawdy to głupia sprawa, rzekł wreszcie korespondent, i nie ma najmniejszej racji, ażeby się to skończyło.

— A jednak musimy ich z tamtąd wykurzyć, tych urwisów! zawołał Pencroff. Choćby ich było dwudziestu, damy sobie z nimi radę, lecz na to by trzeba zmierzyć się z nimi oko w oko! Tam do kata! Czy nie ma żadnego sposobu, ażeby się do nich dostać?

— Jest jeden, odparł nagle inżynier, któremu myśl jakaś strzeliła grzez głowę.

— Jeden? zapytał Pencroff. Więc dobry ten, kiedy nie ma innych! A cóż to za sposób?

— Spróbujmy spuścić się do Pałacu Granitowego przez dawny kanał odpływowy jeziora, odparł inżynier.

— A do kroćset sto tysięcy djabłów! zawołał marynarz. Że też mnie to nie przyszło do głowy!

Był to w samej rzeczy jedyny sposób dostania się do Pałacu Granitowego, ażeby we wnętrzu jego stoczyć walkę z czeredą małp i wyprzeć je z tamtąd. Prawda, że otwór kanału odpływowego zamurowany był skitowanemi kamieniami, mur ten trzeba było poświęcić, lecz można go było później naprawić. Na szczęście Cyrus Smith nie wykonał był jeszcze do tego czasu swego projektu zanurzenia otworu pod powierzchnię jeziora, w takim razie bowiem uskutecznienie ich zamiarów wymagałoby było więcej czasu.

Minęło już było południe, gdy osadnicy nasi dobrze uzbrojeni i zaopatrzeni w kilofy i motyki, opuścili „dymniki“, przeszli po pod okna Pałacu Granitowego, rozkazawszy Topowi pozostać na jego stanowisku. i zamierzali się puścić się lewym brzegiem Dziękczynnej, ażeby dostać się na Wielką Terasę.

Lecz nie uszli jeszcze pięćdziesięciu kroków w tym kierunku, gdy nagle usłyszeli wściekłe ujadanie psa. Był to jakby rozpaczliwy alarm.

Stanęli.

— Biegnijmy! zawołał Pencroff.

I wszyscy popędzili co tchu z góry na dół ku wybrzeżom.

Przybiegłszy do zakrętu ujrzeli całą zmianę sytuacji.

W samej rzeczy małpy, zdjęte nagłą trwogą, którą wzbudziła w nich nieznana jakaś przyczyna, usiłowały ocalić się ucieczką. Dwie lub trzy z nich biegały i skakały z okna do okna ze zwinnością *clown*'ów cyrkowych. Nie próbowały nawet spuścić drabinki, po której łatwiej by im było zleść na dół, a może i w popłochu zapomniały o tym środku. Wkrótce pięć lub sześć małp było wystawionych na strzały, a osadnicy nasi biorąc je wygodnie na cel, dali ognia. Jedne z nich, ranione lub zabite, powpadały napowrót do środka, wydając przeraźliwe krzyki. Inne, spadłszy na dół, połamały karki i w kilka minut później, według wszelkiego prawdopodobieństwa, w całym Pałacu Granitowym nie było ani jednej żywej małpy.

— Hurra! zawołał Pencroff, hurra! i jeszcze raz hurra!

— Po co tyle „hurra“! rzekł Gedeon Spilett.

— Albo co? Wszak wybite wszystkie co do nogi, odparł marynarz.

— Niech i tak będzie, lecz przez to nie dostaniemy się jeszcze do domu.

— Więc idźmy przez kanał odpływowy! odparł Pencroff.

— Bez wątpienia, rzekł inżynier, lecz byłoby lepiej...

W tej chwili, jakgdyby w odpowiedź na uwagę Cyrusa Smitha, ujrzeli jak drabinka prześlizgnęła się przez próg, rozwinęła się i stoczyła do samej ziemi.

— A do kroćset beczek! To rzecz dziwna! zawołał marynarz patrząc na Cyrusa Smitha.

— Aż nadto dziwne! przebąknął inżynier i wskoczył pierwszy na drabinkę.

— Uważaj pan, panie Cyrus! zawołał Pencroff, jeśli tam jest jeszcze który z tych pawianów...

— Zobaczymy zaraz, odparł inżynier nie zatrzymując się.

Towarzysze jego pospieszyli za nim i w minutę stanęli wszyscy u progu drzwi.

Szukano wszędzie. Nie było nikogo ani w pokojach, ani w magazynie, z którym małpy obeszły się całkiem przyzwoicie.

— Tam do kata! a drabinka? zawołał ma-

rynarz. Gdzież jest ów dżentelmen, który nam ją spuścił?

Lecz w tej chwili dał się słyszeć krzyk i duża małpa, która ukrytą była w kurytarzu, wpadła do sali, goniona przez Naba.

— A! otóż mamy zbója! zawołał Pencroff. I zamierzył się siekierą, by rozstrzaskać łeb małpie, lecz w tej chwili Cyrus Smith wstrzymał go za rękę i rzekł:

— Daruj jej życie, Pencroffie.

— Co, ułaskawić tego czarnego djabła?

— Tak! to on nam zrzucił drabinę!

Inżynier wyrzekł te słowa tonem tak osobliwym, że trudno było rozpoznać, czyli to mówił serjo czy żartem.

Mimo to rzucono się na małpę, która, po mężnej ze swej strony obronie, została powaloną i skrępowaną.

— Uff!... zawołał Pencroff. I cóż teraz poczniemy z tą małpą?

— Przyjmiemy ją na służbę! odparł Harbert.

Mówiąc to Harbert nie żartował wcale, wiedział bowiem, jaką korzyść można wyciągnąć z tej inteligentnej rasy małp.

Wówczas osadnicy nasi, zbliżywszy się do małpy, poczęli się jej uważnie przypatrywać. Należała ona do rodzaju tych antropomorfów, u których kąt twarzy mało co mniejszy jest od kąta twarzy u Australczyków lub Hottentotów. Był to orangutan, i jako taki n e miał ani dzikości pawjana, ani nierozwagi makaka, ani niechlujstwa pluchy, ani niecierpliwości magota, ani też zdradnych instynktów kynocefala. Do tej to właśnie rodziny antropomorfów odnoszą się owe liczne rysy charakterystyczne, znamionujące u zwierząt tych ludzką prawie inteligencję. Używane około domu, potrafią służyć do stołu, zamiatać pokoje, czyścić suknie, szczotkować buty, obchodzić się zręcznie z nożem, łyżką i widelcem, a nawet pić wino... jak najlepszy sługa o dwóch nogach i gładkiej skórze. Buffon, jak wiemy, miał jedną taką małpę, która długie lata służyła mu wiernie i gorliwie.

Nasza małpa, która leżała skrępowana w sali Pałacu Granitowego, był to duży samiec, sześć stóp wysoki, dziwnie kształtnej budowy, o szerokiej piersi, z głową średniej wielkości, w której kąt twarzy dochodził do sześćdziesięciu pięciu stopni, z zaokrągloną czaszką, z wystającym nosem, ze skórą pokrytą gładkim, miękkim, i połyskującym włosem — jednym słowem był to skończony typ antropomorfa. Oczy jego, mniejsze nieco od ludzkich, świeciły inteligentną ruchliwością; z pod wąsów błyszczały dwa rzędy śnieżnych zębów, prócz tego miał małą brodę kędzierzawą, orzechowego koloru.

— Piękny z niego chłop! rzekł Pencroff. Gdybym znał jego język, rozmówiłbym się z nim!

— Więc to panie nie jest żart? zapytał Nab. Więc w samej rzeczy przyjmiemy go na służbę?

— Tak jest, Nabie, odparł inżynier z uśmiechem. Lecz nie bądź tylko zazdrośnym!

— I spodziewam się, że będzie doskonałym sługą, dodał Harbert. Zdaje się być jeszcze młodym, edukacja jego pójdzie łatwo, i nie będziemy potrzebowali zmuszać go gwałtem do posłuszeństwa, ani wyrywać mu bocznych zębów, jak to bywa w podobnych razach. On tylko do dobrych i łaskawych panów może się przywiązać.

— Będzie z nas miał takich panów, odparł Pencroff, który zapomniał już całkiem o swej urazie do „figlarzów.“

Poczem przystąpiwszy do orangutana, zapytał:

— Jakże się masz, mój chłopcze?

Orangutan odpowiedział lekkiem mruczeniem, które nie oznaczało zbyt kwaśnego humoru.

— Więc chcemy należyć do osady? zapytał marynarz. Wstąpimy zatem na służbę do p. Cyrusa Smitha?

Po raz drugi ozwało się mruczenie potakujące.

—I będziemy się kontentować samą strawą, bez innej zapłaty?

Trzecie mruczenie potakujące.

—Konwersacja jego jest monotonną, zauważył Gedeon Spilett.

— To dobrze! odparł Pencroff, najlepsi są ci słudzy, którzy najmniej gadają. A potem nie żąda pensji! — Słyszysz mój chłopcze? Na początek nie damy ci żadnej pensji, ale jeśli będziemy z ciebie zadowoleni, to ci damy później podwójną!

Tym sposobem zyskała osada jednego członka więcej, który miał jej później oddać niejedną przysługę. Co do nazwiska, Pencroff prosił, ażeby go nazwano, na pamiątkę innej małpy, którą znał dawniej, Jowiszem, czyli w skróceniu Jowem.

I tym sposobem baz dalszych ceremonji odbyła się installacja pana Jowa w Pałacu Granitowym. (C. d. n.)

ISMAILIA

przez

SAMUELA W. BAKER.

Opis ekspedycji do środkowej Afryki dla zniesienia handlu niewolnikami.

Spisał według oryginału angielskiego

K. H. ŚLEPOWRON.

(Ciąg dalszy.)

V.

Stan rzeczy w Unyoro.

W kilka dni przyszedł mnie odwidzić znajomy mi szejk Kedja, dawniejszy władca okolicy Atada i ze swoimi ludźmi formalny rozpoczął jarmark, znosząc kartofle, które wymieniali na nasze towary. Kedja użalał się na nadużycia kompanji Abou Saooda, przed którémi ludzie jego musieli uciekać, chroniąc się na drugi brzeg rzeki; gdy jednak zapewniłem ich o opiece rządu egipskiego, oświadczyli, że wrócą do dawnych osad i napowrót zaczną uprawiać opuszczoną ziemię. Są oni także wielkimi miłośnikami polowania, a nawet, w czasie naszego marszu przez dziką i niezamieszkałą część kraju, spotkaliśmy kilku ludzi z ich plemienia, jak przestraszeni naszym widokiem uciekli, porzucając swoją broń. Teraz po sprawdzeniu tożsamości osób, oddałem im dzidy i topory rzucone w popłochu, które z wielkim przyjęli zdziwieniem, nie spodziewając się podobnej wspaniałomyślności. Dzidy te bywają używane tylko z wysokości drzew, bo krajowcy nie odważają się polować inaczej na słonie. Ostrze tej broni jest dwadzieścia cali długie, a rękojeść ma dwadzieścia cztery cale; u jej końca jest przytwierdzona duża gałka ważąca kilka funtów, sporządzona z gliny, krowiego nawozu i trawy. Taką dzidę dobrze wyostrzoną myśliwy, siedząc na drzewie, spuszcza na grzbiet słonia, a ta wbijając się w ciało, ciężarem swej gałki przy ciągłym ruchu zwierza, i trącaniu o gałęzie rozrania ciało do tego stopnia, że krew uchodzi ze słonia i ten w końcu pada z osłabienia. Myśliwy idąc za śladem farbującego zwierza spotyka go w chwili konania, i bez narażenia się więcej na niebezpieczeństwo, staje się jego panem.

Blisko tydzień upłynął od wysłania prezentów i poselstwa do króla Kabba Regi, a żadnej nie miałem odpowiedzi. Wyglądało to tak, jak gdyby król chciał okazać swoją ważność, każąc mi czekać u granicy swego państwa. Zwłokę spowodowała jednak inna jeszcze przyczyna. Oto Kabba Rega, zamierzał właśnie napaść na Rionga, swego śmiertelnego nieprzyjaciela, i cała jego armja stała w pogotowiu, czekając tylko na sprzymierzeńców, którymi miały być kompanje handlarskie. Moje przyjście wstrzymało całą wyprawę, niwecząc ułożony plan wojny, wydałem bowiem surowy zakaz Sulejmanowi, ażeby nie ważył się napadać na Rionga, i ztąd pochodziło ociąganie się z odpowiedzią na poselstwo. Z kolei zaczęto i mnie prosić, bym w dowód przyjaźni dla zmarłego króla Kamrasi, przyłączył się do wyprawy mającej zgnieść nieprzyjaciela rodziny królewskiej. Są to zawsze jedne i te same pretensje, któremi za pierwszą moją tu bytnością tak samo mnie męczył nieboszczyk Kamrasi.

Wielki szejk Quonga, z kilku sobie podwładnymi wodzami, jak Lokara, Mantosa i Pittia, przybyli mnie odwidzić, a gdy zasiedli, zacząłem z nimi rozprawiać o niezwidzanych dotąd okolicach Afryki. Podczas tej rozmowy jeden z szejków zapalił ogromnych rozmiarów fajkę; było to wielkiem uchybieniem dla etykiety, palenie bowiem fajki jest wzbronione w przytomności Kabba Regi. Dawny mój dragoman Mohamed, który zupełnie przystał do naszej wyprawy, będąc doskonale obeznany ze zwyczajami tych okolic, bardzo źle to przyjął. Nie namyślając się długo, zbliżył się z karafką, i ruchem grzecznym zalał ogień wodą, oświadczając, że w mojej przytomności nie można palić. Po tem małem ostrzeżeniu szejk zawstydzony oddał fajkę zagaszoną stojącemu w tyle niewolnikowi.

Mieszkańcy Unyoro fizycznie niedorównują dobrze zbudowanym krajowcom z Fatiko, co trzeba poniekąd przypisać pożywieniu wyłącznie roślinnemu, pozbawionemu mięsa i potraw mącznych. Nikt z prywatnych osób oprócz dygnitarzy i rodziny królewskiej, nie posiada krów, i od samego dzieciństwa żywność krajowców składa się po największej części z mdłych i wodnistych kartofli, które wpływają na brak muskularnego rozwinięcia u mężczyzn, powodując częste choroby skórne.

Klasa rządząca jest jeszcze mniej fizycznie rozwiniętą aniżeli lud prosty, co według zdania szejków, wynika z ich sposobu życia, które pędzą próżniaczo, siedząc w cieniu drzew i pijąc mleko. Bydła w tych stronach jest bardzo mało, a te, które przypędzają z innych okolic, prędko zdycha. Taki sam los spotkał moje krowy i co dzień ubywało mi po kilka sztuk. Dziwnym bardzo zwyczajem, rozpowszechnionym w całej okolicy Unyoro, jest urząd pilnowania bydła, który należy tu do osobnej kasty ludzi, co przez całe pokolenia pełnią obowiązki pasterzy, odebrane dziedzicznie po swych przodkach. Ludzi tych nazywają Bohumia, i są oni w prostej linji potomkami Gallasów, którzy pierwotnie podbili ten kraj. Zarówno familji panującej, mają cerę jaśniejszą, czem różnią się od całego plemienia murzy-

nów. Jeżeli po bitwie stado dostaje się wrogom, Bohumy, którzy nigdy broni nie noszą, idą razem z bydłem do nowych panów, nie opuszczając aż do śmierci swego miejsca, które w spuściźnie przekazują znowu dzieciom.

Po długiem oczekiwaniu, pojawiły się nareszcie posły od Kabba Regi, z darami składającemi się z dwóch krów, kawałka soli i różnych jarzyn. Jedna z krów była wspaniałym okazem rasy z Umiro, olbrzymiej budowy z czerwoną połyskującą sierścią, i z nadzwyczaj długiemi i pięknemi rogami. Kabba Rega wydał także rozkaz, aby nam dostawiono potrzebnych ludzi, do przeniesienia rzeczy do Masindi, stolicy Unyoro. Wykonanie tego rozkazu poruczył niejakiemu Rahonki, który był rodzonym wujem nieboszczyka Kamrasi a jego dziadem.

Sulejman i jego ludzie, po długim namyśle zdecydowali się wstąpić do służby rządowej, zaciągając się na dwanaście miesięcy, w skutek czego dostali odemnie certyfikaty, z wymienieniem nazwiska, daty wstąpienia w szeregi i wysokości żołdu. Był to dla mnie bardzo pocieszający obrót rzeczy, i gdyby tylko chcieli pozostać wierni, a będę miał za plecami stację, przez którą będę mógł łatwo utrzymywać otwartą komunikację z pozostałym oddziałem w Fatiko.

VI.

Intrygi Sulejmana.

Jesteśmy teraz w miesiącu kwietniu, i ciągle deszcze dają nam się czuć dotkliwie; szczególnie przy mdłem i wodnistem pożywieniu z kartofli, które nie mogąc zastąpić posilnych potraw mącznych, wiele wpływają na osłabienie sił moich ludzi. Żołnierze pogardliwem okiem patrzą na okolicę, którą nazywają krajem deszczów i ziemniaków. Po odebraniu poselstwa od Kabba Regi, przeprawiłem się zaraz z całym oddziałem na drugą stronę rzeki, i tam siedząc z żoną pod cieniem rozłożystego drzewa, zostałem przestraszony nagłem wpadnięciem krajowca, który przemknąwszy się koło warty, upadł mi do nóg wołając błagalnym głosem: *Aman! Aman!* (łaski.) Nadbiegła straż schwytała zaraz klęczącego murzyna; a za pośrednictwem tłumacza dowiedzieliśmy się, że był rodem z Koitch, w pobliżu Fatiko, i przyłączywszy się do kompanji Sulejmana, usiłował teraz umknąć, za co wakil chciał go ukarać śmiercią.

W kilka minut ukazał się sam wakil blady i trzęsący ze złości, szukając zbiega. Sulejman był z powierzchowności prawdziwym typem zbójcy, i nawet między ludźmi kompanji, którzy pewnie nie odznaczali się łagodnemi obyczajami, słynął z okrucieństwa i mściwości. Z ojca Kurdy powinien był różnić się białą skórą od murzynów, gdyby nie słońce afrykańskie, które przez lat tyle coraz ciemniejszym bronzem pokrywało ostre rysy jego twarzy. Pod krzaczastemi brwiami, głęboko osadzone przenikliwe oczy, nadawały djabelski wyraz całej jego postaci. W tej chwili był miotany tak zapamiętałym gniewem, że zaledwie mogąc się powstrzymać, ucałował mi rękę, prosząc, bym mu dozwolił własnoręcznie ściąć głowę nieszczęśliwemu zbiegowi. Po odbytem badaniu winowajcy, okazało się, że był to łotr w swoim rodzaju, bo niedawno ukradł strzelbę i dwa pistolety z obozu. Teraz był oskarżony o pomaganie niewolnikom w ucieczce ze stacji handlarskiej, za co go skazano na ścięcie. Ponieważ ten sposób karania nie był przezemnie uznany, zwłaszcza za uwalnianie kobiet, co siłą były więzione, rozkazałem przeto aby obwiniony został tymczasem trzymany pod strażą, aż do późniejszych rozkazów. Sulejman sam, ochłonąwszy z gniewu, zdawał się przyznawać słuszność moim rozporządzeniom, i przyobiecał trzymać go pod strażą, czekając na dalsze rozporządzenia; tymczasem zaś miał się przygotować do podróży, którą nazajutrz mieliśmy razem przedsięwziąć.

Tego jeszcze wieczora, po ulewnym deszczu, byliśmy świadkami wydobywania się białych skrzydlatych mrówek z rodzinnych mrowisk. Miljony tych owadów, wznosiły się w nadpowietrznym locie, ale zaledwie próbując skrzydeł wzniosły się w górę, były łapane przez moich ludzi, którzy z zapalonemi wiechciami uganiali za niemi. W całej środkowej Afryce czas emigracji lotnych mrówek jest jakby czasem żniwa, które rozpoczyna się z pierwszemi deszczami. Białe mrówki w tym okresie swojego żywota smażone na maśle, są przez krajowców wielce cenione, jako delikatny przysmak. Próbowaliśmy tego specjału, który byłby dość znośnym, gdyby nie lekki posmak z piór przypalonych.

Na drugi dzień, gdy wszystko było gotowe do marszu, Sulejman w ostatniej chwili wykręcił się od towarzyszenia nam w podróży. Wymawiał się jakimś ważnym interesem, który miał załatwić ze swoimi ludźmi, obiecując następnego dnia podążyć za nami. Dałem mu pozwolenie, ale z zastrzeżeniem, by starał się jak najprędzej ze mną złączyć, gdyż wypadało koniecznie bym go przedstawił Kabbie Rega, w nowej jego godności jako wakila rządowego.

Tym ludziom jednak nie można nigdy wierzyć, każdy ich krok jest bezustanną obłudą; tak się też miało z pilnym interesem Sulejmana, który był zgrabnym tylko wykrętem, ażeby się mnie pozbyć, a tymczasem prowadzić dalej plan napadu na Rionga wspólnie z wojskiem króla. Po zwycięzko zakończonej wyprawie na nieprzyjaciela, szejki Lokara i Rahonka mieli dostarczyć Sulejmanowi tragarzy do przeniesienia kości słoniowej, i tenże razem ze swoimi ludźmi, podług zleceń Abou Saooda, zamierzał udać się potem do Fatiko. Mnie zaś chcieli w zdradziecki sposób zostawić w kraju, 160 mil ang. oddalonym od stacji Fatiko, bez żadnej możności skomunikowania się z pozostawionym oddziałem. Miesiąc wprzód, sam Abou Saood odwidził króla Kabba Rega, zostawiając tam na mnie i mój oddział łapkę, w której o mało nie postradaliśmy życia.

Ledwie ostatnie szeregi naszego oddziału znikły z oczu handlarskiej kompanji, gdy Sulejman puszczając wodze długo powstrzymywanej wściekłości, kazał wywlec z obozu nieszczęśliwego więźnia, któremu życie chciałem ocalić, i w przytomności wszystkich szejków ściął mu głowę, aby pokazać, jak nic nieznaczącą jest moja władza.

My w tym czasie, nie spodziewając się zdrady za naszemi plecyma, szliśmy szybko naprzód przez gęste lasy i wsie, które mijaliśmy na przemian. Ziemia w Unyoro bardzo żyźna, koloru czekoladowego, wydaje śliczny zbiór tytoniu, nierównie w lepszym gatunku jak w okolicach Gondokoro. Pomiędzy uprawianemi zbożami jest rodzaj *solanum*, którego jagody koloru pomarańczowego, jakoteż i liście służą za pokarm krajowcom. Stanąwszy na noc w lesie, na drugi dzień z rozczarowaniem ujrzeliśmy się opuszczeni przez naszych 300 tragarzy. W dodatku pomimo przyrzeczeń szejka Rahonki, że na każdym popasie zastaniemy przygotowaną żywność, z wielką trudnością mogliśmy tylko dostać od mieszkańców trochę kartofli. Zniecierpliwiony temi przykrościami, kazałem przywołać przewodnika, któremu przez ostrożność by nas także nie opuścił, przeciągnąłem sznur bezpieczeństwa przez szyję, i tak dostawionemu oświadczyłem, że nie myślę zapuszczać się w głąb kraju, nie chcąc mieć do czynienia z tak nieuczciwym królem jak Kabba Rega. Pułkownika Abdel-Kadera wysłałem zaś z oddziałem trzydziestu ludzi napowrót do Fowera, i z listem dla Sulejmana, by się natychmiast zajął zebraniem 300 krajowców, którzyby nasze rzeczy przenieśli niezwłocznie do jego obozu. (C. d. n.)

TEATR.

(„Przed ślubem" komedja w pięciu aktach Kazimierza Zalewskiego.)

Bodaj czy nie od Warszawy nadejdzie Polsce przyobiecany już oddawna Mesjasz nowej ery dramatycznej! Są na to znaki na ziemi i niebie. Na tamtejszym horyzoncie literackim zabłyska jedna gwiazda po drugiej, i jedna piękniejsza od drugiej, tak że prorocy są w prawdziwym kłopocie, która z tych gwiazd ma właściwie zwiastować narodzenie Mesjasza. A kto wie? może się już ten Mesjasz narodził? pytają jeden drugiego spłoszeni mędrcy i pakują tłumoki na drogę, by oddać pokłon nowonarodzonemu. Dyrektorowie teatrów niosą mu złoto, niestety w monecie papierowej, dzienniki: kadzidło, a hrabiowie dramatyczni: mirrę — ha, bo Mesjasze na nieszczęście rodzą się w stajni... O to zaś, by przy tej ceremonji nie brakowało także ani wołu, ani osła, postara się już tutejsza krytyka „oficjalna," która niedawno na „Przezorną Mamę" Blizińskiego ryczała tak przeraźliwie... My bo Lwowianie dziwnym jesteśmy narodem — zupełnie takim, jak owi żydzi pod panowaniem cesarzów rzymskich. Znudziło się nam już jarzmo pp. Dumasa i Sardou, i wołamy za domorosłym Mesjaszem, któryby nas od niego uwolnił, lecz gdyby nam kto powiedział, że ten zbawiciel przyszedł już na świat, gotowiśmy bez namysłu wyciąć w pień wszystkie Bogu duszę winne niemowlęta literackie, ażeby tylko nie dać wyróść Mesjaszowi. Moglibyśmy to jednak uczynić z czystem sumieniem — między nami. On pewnie nie wyrośnie! A gdyby i wyrósł, tobyśmy go ukrzyżowali czemprędzej, dodawszy mu z każdego boku po jednym dziennikarzu do towarzystwa.... My wolimy Barabasza — już taki nasz gust!....

Lecz nie! nie pięknie jest bluźnić własnemu narodowi, i dlatego pospieszam tu zapisać, że naród lwowski tym razem sprzeniewierzył się swoim tradycjom, i że, pomimo wielu niedorzecznych uwag, krytyk i złych dowcipów, jakie grasowały po mieście po przedstawieniu „Przezornej Mamy" Blizińskiego i „Przed ślubem" K. Zalewskiego, ogół publiczności lwowskiej, wiedziony zdrowym instynktem, z dawno już niezapamiętanym zapałem przyjął oba te utwory, a drugi z większym jeszcze niż pierwszy.

Komedja p. Zalewskiego wprawiła wszystkich w zdumienie. Nie spodziewano się zwłaszcza po pisarzu polskim takiego mistrzostwa formy dramatycznej. Dumas i Sardou uchodzili u nas w tej mierze za niedoścignione ideały. Z młodego przychówku pisarzy polskich, tylko jeden Fredro (syn) odznaczał się pewną zręcznością i lekkością formy dramatycznej, którą pokrywał i wynagradzał częściowo bezmyślną płytkość swoich utworów. W p. Zalewskim zjawił się niespodziewanie pisarz, który głębokość pomysłu jednoczy z misternością formy, prawdę realistyczną w przedstawieniu ludzi i sytuacyj z pewnym wzniosłym, poetycznym nastrojem; morał umie przyodziać w powabną sukienkę prostej a zajmującej intrygi, głęboką myśl rzucić w dowcipie lub uszczypliwym aforyzmie, który umie wypowiadać wielkie prawdy a nikogo niemi nie znudzić, który umie widza rozśmieszyć i zabawić a przytem wywołać na czoło jego myśl poważną, więzić go przez kilka godzin w zaczarowanem kole stworzonego przez się obrazu

a potem pożegnać go, zostawiając mu na pamiątkę i w głowie coś i w sercu coś.... Kto to umie — wiele umie!

Utwór p. Zalewskiego, pomimo wielu zalet w budowie, akcji i przeprowadzeniu pojedynczych sytuacyj, jest jednak przeważnie tem, co zowią „komedją charakterów.“ Fabuła kreacji służy autorowi po większej części tylko do uzmysłowienia i stopniowego rozwinięcia myśli zawartej w charakterach osób działających, tu n. p. w charakterze głównego bohatera, Augusta Nowowiejskiego. Akcja, powiedziałbym, służy mu tylko za ekspozycję charakterów, i dlatego pierwszą stosuje zupełnie do drugiej. W kształtowaniu intrygi nie tyle mu chodzi o harmonijny jej układ, jak raczej o to, ażeby w niej jasno, wyraźnie i zupełnie odbiły się charaktery osób działających. Stanowi to zarazem i zaletę i skopuł utworu. Temu przypisać należy przydługą nieco ekspozycję intrygi, której właściwe zawiązanie następuje właściwie dopiero z końcem aktu 3go, t. j. od chwili, gdy główny bohater August Nowowiejski główną bohaterkę Helenę Łucką w charakterze jej prowizorycznego narzeczonego „bierze w opiekę“ ażeby ją wydać za swojego protegowanego: Antoniego Uszyńskiego. Że zaś czyni to odrazu w tym, a nie innym zamiarze, (czego nie zrozumieli nawet niektórzy krytycy) wypływa naprzód z tego, iż w tym samym akcie zaprasza Antoniego na bal do Łuckiej, oczywiście nie w innym celu, jak tylko w tym, by na tym balu zapoznał się z Heleną, a powtóre z monologu jego w akcie 4ym, w którym powiada: że p r ó b a udała się, i to lepiej niżeli się spodziewał. Zresztą gdyby nie ten cel z góry upatrzony, całe postępowanie Nowowiejskiego pozbawione by było głębszych pobudek, a osoba bohatera tej aureoli dobrowolnego poświęcenia, które jest w tym wypadku d o b r o w o l n e m, pomimo że skromny bohater sam o sobie powiada: że zrobił tylko to co m u s i a ł. Tego zamiaru bohatera nie mógł autor od razu wyraźnie odsłonić, gdyż straciłby był na tem interes sztuki, lecz pozwolił go się z wielu wskazówek domyśleć. Bądź co bądź jednak pociągnęło to za sobą pewną pozorną dwoistość akcji, z której chciwa krytyki przemądrość ukuła skwapliwie zarzut przeciw autorowi. Lecz czemże jest ten skopuł, jeżeli jest nim, wobec tylu zalet w samej nawet budowie utworu, od początku do końca tak harmonijnej i pięknej! Nikt nie może autorowi robić zarzutu z tego, gdy stwarza sytuacje dla charakterów, byle dla tej metody nie poświęcał prawdopodobieństwa sytuacji.... A taki zarzut ośmieliłbym zrobić autorowi w jednym tylko punkcie, t. j. w owej scenie pierwszego widzenia się Heleny z Antonim przed balem. Taka otwartość panny z usposobieniem tem co Helena, wobec nieznanego młodego człowieka nie jest tu, jak sądzę, niczem usprawiedliwioną, a najmniej już rodzącem się w niej raptownie uczuciem dla młodego malarza, bo właśnie uczucie takie powinnoby ją było bardziej jeszcze onieśmielić....

Powiedziałem wyżej, że „Przed ślubem“ jest komedją charakterów. Do myśli swojej dobrał autor kilkoro ludzi i kazał im odegrać przed nami kawałek z życia ludzkiego, kawałek zwykły, prosty, pospolity.... Patrzcie, powiada do nas, w taki to sposób ludzie ci odegrywają swe role na świecie, sądźcież o nich z tego!.... Ludzie ci mówią sami za siebie (a nie autor za nich!) a mówią nie tyle słowami, ile postępowaniem swojem, postępowaniem wynikającem z ich wartości moralnej i umysłowej. Jakąż więc jest ta myśl autora, którą powcielał w tych ludzi? Może ta: że z młodemi pannami nie powinni się żenić starzy kawalerowie?.... Skromny autor zdaje się sam na końcu sztuki ten tylko jedyny wniosek wysnuwać ze swej komedji. Lecz zupełnie o co innego chodziło mu w gruncie rzeczy. Chciał oto na tle dzisiejszego społeczeństwa okazać objawiające się różnice między t. z. u c z c i w o ś c i ą r z e t e l n ą, a u c z c i w o ś c i ą p o b i e l a n ą. chciał pokazać, że na to, by być człowiekiem p r a w d z i w i e uczciwym, trzeba posiadać koniecznie wyższy, wznioślejszy umysł, być zdolnym do poświęcenia nawet tego, co jest nam najdroższe, jeśli tak każą rozum i przekonanie wewnętrzne, że w życiu „trzeba być b a r d z o u c z c i w y m człowiekiem ażeby nie być łotrem....“ to jest: bo inaczej będzie się łotrem.. Tak wąską jest granica dzieląca uczciwość prawdziwą od łotrowstwa, albo (co na jedno wyjdzie) od uczciwości pozornej, wystarczającej dla oka ludzkiego, i wystarczającej na to, by o nas świat powiedział: „to człowiek uczciwy!....“ I oto w swej sztuce zestawił autor przeciwieństwo między uczciwością takiego „pasożyta“ jak Nowowiejski, który dla zapewnienia szczęścia istocie, która mu zaufała, odpycha swoje własne, a uczciwością takiego męża pełnego skalistych zasad i nieskalanej moralności, jak Drecki, który wzbogaca się oszukiwaniem swej pupili, a w końcu, by się uwolnić od zdawania rachunków z opieki, radby ją przykuć na wieki do pierwszego lepszego złotego wołu; między poświęceniem owego „nieużytego egoisty,“ który dla szczęścia dwojga ludzi wyrzeka się własnego, a poświęceniem czułej matki, która „poświęca“ majątek własnej córki, a w końcu gotowa i ją samą „poświęcić“ ażeby sobie zapewnić wygodne, próżniacze życie. W komedji któżby nie podziwiał Nowowiejskiego, a nie gardził Dreckim i Łucką? ale w życiu — pierwszego nazwą pasożytem i w końcu ośmieją jako głupca, a drugich nazwą „uczciwymi i rozsądnymi ludzmi....“ Ta to myśl niejednokrotnie w ciągu sztuki zdaje się przebijać uśmiechem smutnym lub cierpkim sarkazmem.... Głęboko sięgnąć musiał w duszę człowieka i do gruntu przejrzeć komedję życia ten, kto powiada: „że trzeba być bardzo uczciwym człowiekiem, ażeby nie być łotrem“.... Takich dowodów wytrawnej znajomości świata i ludzi jest wiele w tej komedji, dlatego też wszystko tchnie w niej prawdą życiową, która do każdego przemawia i każdego przekonywa. Żałuję że szczupło wymierzony zakres miejsca nie pozwala mi o tym utworze rozpisać się tak, jakbym pragnął, i jakby na to zasługiwał. Nie będę tu także, za przykładem innych krytyków, zastanawiał się nad tem, czyli utwór ten jest arcydziełem lub nie, musiałbym bowiem wprzód dowiedzieć się od tych panów, co to jest „arcydzieło,“ (oni muszą o tem wiedzieć) — lecz pozwolę sobie skonstatować, że komedja ta jest niezawodnie najlepszą z tych, jakie się w ciągu ostatnich lat piętnastu na scenie polskiej pojawiły, że obojętna i nielubiącej jednej i tej samej sztuki widzieć dwa razy lwowska publiczność przez trzy wieczory z rzędu przepełniała teatr, i z niewidzianym nigdy zapałem wywoływała autora przy otwartej nawet scenie, co wprawdzie pięknie świadczyło o jej zapale, lecz za to mniej pochlebnie o jej takcie i wychowaniu.

Przedstawienie mogło autora (gdyby był obecnym) najzupełniej zadowolić. P. Ładnowski w roli Augusta i pani Aszperger w roli Łuckiej stworzyli kreacje pełne głębokiej prawdy, obok subtelnych odcieni. Panna Deryng (Helena) chybiła nieco zbytniem w niektórych miejscach „pozowaniem dramatycznem,“ co się jej często przytrafia, odkąd w każdej roli gra „wielką artystkę,“ zresztą miała wiele chwil prawdziwie pięknych i nie „wielkoartystycznych.“ P. Kwieciński stworzył znakomity typ fałszywego genjuszu; musimy przyznać panu K. że z każdym dniem więcej nas interesuje swojemi kreacjami. P. Konarski był w ostatnim akcie nieco zbyt tchórzliwym, zresztą odegrał swą rolę z właściwem sobie zrozumieniem. P. Zamojski był wybornym i pełnym prawdziwego podziwu Klapkiewiczem. Całość przedstawienia wypadła nader starannie, co od czasu nowej dyrekcji jest zdarzeniem tak zwyczajnem, że jako o rzeczy samej przez się rozumiejącej się, wspomniaćbym nie powinien. W istocie pod każdym względom należy się nowej dyrekcji najwyższe uznanie za dotychczasową działalność, a budzące się coraz bardziej w publiczności zajęcie dla teatru jest dowodem, że działalność taka nie pozostaje bez skutku. Byle tak dalej!

* *
*

Przed kilkoma dniami odegrano po raz pierwszy najnowszy podobno utwór p. Blizińskiego jednoaktową komedyjkę, czyli przysłowie p. t. *Chleb ludzi bodzie.* Za temat posłużyła autorowi „Przezornej Mamy“ tyle już razy ze strony komicznej i dramatycznej obrabiana: manja spanoszonych dorobkiewiczów wywyższania się po nad dawny stan, któremu właśnie zawdzięczają wszystko, czem są. Temat to również nie nowy, jak każdy inny i zawsze jednakowo nowy. Najtrudniej oczywiście w takich razach uniknąć szablonu, a jednak nie popaść w nieprawdopodobieństwo lub dziwaczność. Oryginalny talent autora pokonał wprawdzie obie te trudności, jednak mniej szczęśliwie, niż w „Przezornej Mamie“. Układ zwłaszcza tej komedyjki nie jest dość zręczny, wskutek czego nie interesuje ona widza tak, jakby mogła i powinna. Intryga jest dość po dyletancku skrojoną i uszytą tak, że widać w niej wszystkie szwy — a przytem widać i to, że autorowi kilka razy rwała się nitka i kilka razy świeżą nawlekał. Djalogowanie jest zbyt rozwlekłe, uleniwia bieg akcji i nuży słuchacza. Jedno przyznać trzeba autorowi, to, że nigdy owego tonu szlachetniejszego, jaki panuje tak w pomyśle jak i w przeprowadzeniu jego utworów, chociażby tłem takowych (jak w niniejszym wypadku) były dość niskie sfery społeczne, nie odstąpi dla efektu choćby najwięcej obiecującego, jednak niezgodnego z przekonaniem estetycznem autora. Woli on w takim razie, by rzecz wypadła blado, a zachowała ową arystokratyczną dystynkcję estetyczną, niżeli zbyt jaskrawo a banalnie. Jak ponętnem n. p. przedstawiałoby się dla każdego innego mniej wybrednego pisarza zakończenie tej komedji farsą, o której sam autor od niechcenia napomyka, t. j. gdyby Moszczyc rzeczywiście wystąpił wobec Kiksiewiczów jako swat Marcinka!.. Ale autor posiada w tym względzie gust prawdziwie wielkopański, jaskrawości nie lubi, nie lubi pawich piórek, któremi furmani tylko zdobią swe kapelusze... Najudatniejszą stroną tego utworu są charaktery, pełne prawdy, świeżości i naturalnego humoru, jakby z życia wykrojone. Nie pojmuję tylko dla czego autor zrobił Moszczyca garbatym i jąkałą! Czy pomimo całej zapewnionej z góry stałości uczuć Jadwini dla Piotra, obawiał się przeciwstawić temuż niebezpieczniejszego rywala?

Ar—y.

IDEALIŚCI,

POWIEŚĆ

JANA LAMA.

(Ciąg dalszy.)

W dalszym ciągu relacji swojej z podróży do miasta, opowiedział p. Alfred pani Helenie, że p. Zamecki był wraz z p. Skryptowiczem u notarjusza. P. Alfred śledził ich pilnie, i przekonał się, że zabawili całą godzinę w biórze notarjalnem. Dzięki przypadkowi, niezbyt nadzwyczajnemu w życiu ludzkiem, p. Alfred chodząc do szkół miał nie tylko takich kolegów, którzy później wykierowali się na farmaceutów, ale także i takich, którzy po krętych ścieżkach Temidy wydrapali się z czasem aż na ten wysoki szczebel, gdzie kończy się zawód prostego przepisywacza aktów, a zaczyna się trudniejsza nierównie misja fabrykanta własnych „konceptów“, ma się rozumieć, nie humorystycznych, ale jurydycznych — misja, połączona z przyjemną perspektywą na posiadanie własnej kancelarji w Końcoświatowicach albo w Zakątowie, i na legalizowanie pięciu dokumentów co tydzień, po 50 centów od sztuki, co po odtrąceniu podatku dochodowego stanowi około ośmdziesiąt złr. przychodu rocznie, a więc, zawiązek skromnej wprawdzie, ale uczciwie zarobionej fortuny. Jeden z takich szczęśliwych śmiertelników, a przytem kolega szkolny p. Alfreda, od kilku lat był zawiadowcą kancelarji notarjalnej, w której p. Tadeusz, jak wiemy, z podszczenia p. Karola podyktował był swój testament. Na imię mu było Szczęsny, Fortunat, Pomyślnicki, to też pobierał w 39 roku życia swego płacę, równającą się odsetkom od sumy, jaką p. Alfred wydawał rocznie, jeżeli był oszczędnym. Mimo tych przyjaznych uśmiechów losu, p. Szczęsny, Fortunat Pomyślnicki był człowiekiem nader zgryźliwej i tetrycznej natury, a między innemi, wziął raz za złe p. Alfredowi, iż tenże po starej znajomości uprosiwszy go sobie do pomocy prawnej w jakimś interesie, nie zwrócił mu później pieniędzy wyłożonych na stęple i inne należytości. Dla tego też, gdy p. Alfred po odejściu

pp. Zameckiego i Skryptowicza przyszedł odwidzić go i zapytać, jak mu się powodzi, p. Pomyślnicki przyjął go zimno i niechętnie. Dopiero gdy p. Alfred przypomniawszy sobie, że jest jego dłużnikiem, z wielkiem podziękowaniem zwrócił mu część należącej mu się kwoty — bo więcej nie miał „przy sobie“ — i gdy go zaprosił na śniadanie złożone z wódki, czterech łutów salami werońskiego i szklaneczki porteru, p. Pomyślnicki odtajał nieco, zafundował całą butelkę porteru i to koszowego, a nakoniec wygadał się jakiego rodzaju interes sprowadził p. Skryptowicza i p. Zameckiego do notarjusza. P. Alfred zapytał o to od niechcenia i w odpowiedzi otrzymał od p. Pomyślnickiego najpierw tylko złośliwe spojrzenie, połączone z pewnym ruchem ręki, który może znaczyć, podług okoliczności, że o tem mówić nie warto, albo, że dałoby się o tem powiedzieć bardzo wiele, ale nie ma czasu. Po niejakiem naleganiu zeznał wszakże p. Pomyślnicki, że „ten Skryptowicz“ to wielki filut. Kupuje właśnie za bezcen duży majątek ziemski, a Zamecki pożycza mu pieniędzy, i z tego powodu spisali akt notarjalny, ale nie ma wątpliwości, że Zamecki wyjdzie jak najgorzej na całym interesie. W ciągu tego opowiadania, p. Pomyślnicki spoglądał bez ustanku tak złośliwie dokoła, jak gdyby jemu samemu udało się złapać jakiego Zameckiego i wyłudzić od niego pożyczkę na kupienie wielkiego majątku ziemskiego za bezcen. — „Hm, Zamecki ma dużo pieniędzy!“ zauważył p. Alfred, „ciekawa też rzecz, kto po nim weźmie majątek?“ — „Ha, pewnie żona“, była odpowiedź. „No, ale legatów będzie co nie miara“, odparł p. Alfred— „Zamecki musiał zrobić testament“. — „Ej gdzie tam, tacy jak on nie piszą testamentów, a zresztą, gdyby i napisał, z pewnością zostawiłby żonie wszystko, co ma, wszak formalnie przepada za nią.“ — „Więc nie zrobił testamentu?“ — „Ani mowy o tem, a szkoda, bo szlachcic hojny i opłaciłaby się fatyga pisania.“ Po tej rozmowie p. Alfred upewniony, że przypuszczenia p. Heleny były mylnemi, zbliżył się do lady, ażeby zapłacić za konsomację, i zapłacił w istocie za dwie wódki, cztery łuty salami i pół butelki porteru, poczem pożegnał p. Pomyślnickiego skinieniem głowy i odszedł. Gdyby był został jeszcze chwilę, byłby słyszał, jak p. Pomyślnicki przystąpiwszy do lady, płacił za bułki zjedzone przy śniadaniu, i za całą butelkę porteru, i jak następnie, oglądnąwszy się i spostrzegłszy zniknięcie p. Zgorzelskiego, nader patetycznie wygłosił pewien przydomek, używany z upodobaniem na Rusi i na Litwie, przydomek zaczynający się na *d*, a kończący się na *ń*.

— D...ń! zawołał p. Pomyślnicki. Nie płaci nawet bułek, i winien mi jeszcze za stęple! O, chciał mię ciągnąć za język, ale *ne zdurysz aptykara szajdwaserom!*—Tymczasem p. Alfred nietylko nie słyszał tej apostrofy, wygłoszonej *in usum* subjektów w handlu korzennym, ale owszem był pewny, iż nietylko odurzył p. Pomyślnickiego swoją uprzejmością, lecz także uraczył go jak najhojniej. Dzięki tej okoliczności, treść testamentu P. Zameckiego pozostała tajemnicą dla p. Alfreda i dla p. Heleny, a nadto, oboje uwierzyli w całą wersję p. Pomyślnickiego tem łatwiej, gdy ściśle biorąc, nie miał powodu tajenia lub przeistaczania prawdy.

Pani Helena słuchała w głębokiem milczeniu opowiadań p. Alfreda. Gdy skończył, zapytała go tylko, jak prędko, w jakiej formie i w jaki sposób skarga wekslowa, podana w mieście, może dostać się do Rymiszowa. P. Zgorzelski był nader biegłym w sprawach tego rodzaju i wyświecił jej wszechstronnie naturę interesów prawnych, wytoczonych w sądzie handlowo-wekslowym.

— Czy przywiozłeś mi to, o com cię prosiła? zapytała nagle.

— Przywiozłem.

— Pokaż!

— Zostawiłem to w tłomoczku, pojmujesz, że nie mogłem wieść tego przy sobie...

— Starajże się oddać mi to, nim odjedziesz, — słyszę, że zajechał powóz; wypada mi pójść powitać Zameckiego. Gdy się zdarzy sposobność, pójdź do swojej bryczki i przynieś mi moje lekarstwo.

— Heleno, czy jeszcze ciągle trwasz w twoich zamysłach?

— Mówiłam ci już, że nie mam jeszcze żadnych zamysłów. Nie pytaj mię o nic, nie mów do mnie... Jestem jak szalona... myśli, obawy i postanowienia krzyżują mi się w głowie. Pomówimy jutro. Zrobię jeszcze jedną próbę, może mi się uda... Staraj się koniecznie być jutro tutaj!

Wiemy, jak następnie p. Helena na ganku zamkowym przyjmowała męża i Helenkę, i jaką miała rozmowę z p. Tadeuszem. Wiemy także, jak się przypatrywała papierom, które p. Tadeusz chował do ogniotrwałej kasy. Pomyślała wszakże, że musi to być ów akt, ubezpieczający mniemaną pożyczkę, daną p. Skryptowiczowi, i nie zastanawiała się nad tem dłużej. Później, już z polecenia męża, rozmawiała raz jeszcze z p. Zgorzelskim, poczem nastąpił obiad, a po nim, zwykłe posiedzenie klubu. O tem wszystkiem zda nam sprawę w następnym rozdziale świadek naoczny. Moją rzeczą jest na razie prowadzić tylko dalej historję swatów p. Zgorzelskiego z panną Wandą Cichocką.

— Jakże, zapytał p. Tadeusz panią Helenę, gdy się znaleźli sami — mnie poszło jako tako z moimi zakochanymi, a twoje poselstwo?

— Nadspodziewanie dobrze. Zgorzelski nie przyjął wprawdzie bezwarunkowo twojej propozycji, bo niby ma jakieś skrupuły, a przytem nadzieję dostania pożyczki z Kasy Oszczędności. Prosił wszakże tylko o trzy dni czasu do namysłu, a co się tyczy Wandy, to już tak dobrze jak oświadczył się o nią, na moje ręce, ma się rozumieć.

— No, chwała Bogu, że to się już raz skończy! Obejdziesz się teraz doskonale bez Wandy, bo spodziewam się, że będziesz miała milszą od niej towarzyszkę. Ale ty jakaś mi smutna jesteś Helenko, czy ci co dolega?

— Ach, ty niedobry Tadzuniu, myślisz o wszystkich, a nie pomyślałeś o tem, co mię najbardziej obchodzi! Prawda, że nie byłeś u mamy?

— Wyznaję...

— O, widzisz, a Zgorzelski był, i przywiózł mi jak najgorsze wiadomości!

— W istocie, to co słyszałem od Karola, nie brzmi pomyślnie... Ale właśnie dla tego, nie mogłem zdecydować się zaglądnąć do Mamy.

— Jakto, właśnie dla tego, że chora i nie ma co jeść! Nie mówisz tego na serjo, Tadziu!

— Nie słyszałem, aby nie miała co jeść, a co się tyczy choroby... Ha, jest to choroba umysłowa, w którą często wpędza ludzi zbytek dewocji, wyzyskiwanej przez złych księży. Psychjatrowie nazywają to zadumą religijną... Jest to dzieło Stodolskiego, Kriechewitza i innych. Opanowali staruszkę, odarli ją i odzierają ze wszystkiego, i obudzili w niej egzaltację, która przeszła już prawie w obłąkanie. Nicby tam nie pomogły moje odwidziny. Potrzeba poprostu w twojem imieniu i przy pomocy Karola, jako najbliższego krewnego, postarać się o kuratelę sądową, rozpędzić jezuitów i usunąć ich wpływ od mamy. Toż mówił mi Karol, że strach patrzeć na nią, jak wygląda i co robi. Widział ją raz na ulicy. Policzki chorobliwie nabrzmiałe, nienaturalnie czerwone, ubrana nędznie i w jakiejś grubej wełnianej chustce na głowie, o dwadzieścia kroków od kościoła rzuciła się na kolana i na klęczkach czołgała się do drzwi, a od drzwi do wszystkich ołtarzów, jęcząc w głos różne dziwactwa...

(C. d. n.)

Z dziedziny nauk przyrodniczych.

Najstarsze ślady istnienia człowieka w Europie.

(Ciąg dalszy).

Okres kamienia gładzonego.

Trzeci przedhistoryczny okres istnienia człowieka, jest wiekiem kamieni gładzonych, jak mówią Francuzi „l' Age de la Piérre polie“, który odróżnia się od dwóch poprzednich tem, że w pokładach istniejących przed nim, nie było kamieni tak gładko obrobionych i oszlifowanych. I w tym okresie skonstatować znowu możemy widoczny postęp w rozwoju duchowym, wyższy stopień kultury. O wiele tysięcy lat młodszy od poprzednich perjodów, a zatem bliższy wieków historycznych, należy, co do geologicznej formacji zewnętrznej, podziału lądów i mórz, gór i rzek, tudzież klimatem, wegetacją i światem zwierzęcym niemal do czasów historycznych.

Do najstarszych zabytków tego okresu, przypadającego mniej więcej na 5000 lat przed jutrzenką historji — należą tak zwane okruchy kuchni owych czasów, znajdowane u wybrzeży mórz. W rzędzie tych resztek znajduje się mnóstwo małży jadalnych niegdyś, noże z krzemienia i małże, których gatunki dziś jeszcze istnieją w morzach. W tem tylko różnica co do muszli, że podówczas były one o wiele większe, jak naprzykład muszle ostryg morza wschodniego, czego przyczyną to prawdopodobnie, że wówczas woda owego morza musiała być podwójnie tak przesycona solą, jak obecnie.

Ściślejsze poszukiwania przedsięwziął za okruchami kuchennemi, zwanemi po duńsku *Kjökkenmöddinger*, i opisał je bardzo dokładnie zasłużony w gałęzi badań geologicznych, zmarły przed kilku laty profesor berneński von Morlot.

Co do szczątków z tego okresu, obfituje w nie szczególniej Szwajcarja, która za to z pierwotnych okresów istnienia człowieka dostarczyła bardzo mało lub też często wcale nic. Na perjod bowiem kamienia gładzonego, lub jak się zwykle mówi, wiek kamienny, przypadają najstarsze budowle nawodne, które odkryte zostały w ostatniem piętnastoleciu po większej części w jeziorach szwajcarskich i w przyległych do nich moczarach torfowych. Pierwsze szczątki budowli nawodnych odkryto w zimie w latach 1853 do 1854, w czasie opadnięcia wód koło Meilen na jeziorze Zurychskiem, a opisał je i ocenił ich naukowe znaczenie znakomity badacz zurychski, dr. Ferd. Keller. Oczywiście, że pierwszymi ludźmi, którzy odkryli te budowle podwodne, byli rybacy, wiedzący już dawno o istnieniu palów, znajdujących się pod wodą.

Nie jest obecnie zadaniem naszem opisywanie wyczerpujące znanych już budowli, te bowiem znajdują się w licznych pismach. Nam idzie tutaj o to, ażeby wykazać główne cechy okresu kamiennego, o ile szczątki tegoż są widoczne także i w budowlach nawodnych — gdyż to ułatwia porównanie z pierwotnemi perjodami istnienia człowieka.

Jeźli w pierwotnych okresach znajdowała się broń i narzędzia rozmaite, po większej części tylko z kamienia obtłukanego, krzesanego, z krzemienia surowo ledwo ociosanego, to w okresie, o którym mowa, napotykamy po raz pierwszy broń starannie ogładzoną. Wszelkie narzędzia i broń sporządzane były w tym okresie z kamienia zielonawego, znajdowanego w pokładach rumowisk potopowych, jako to z djerytów, syenitów i gabbro. W najrozmaitszy sposób, a zwykle z zastanowienia godną zmyślnością, umocowywane te narzędzia kamienne do gryfów i trzonków z drzewa, rogu lub kości. Trudno nieraz oznaczyć ogładzone te kamienie, do jakiego rzędu broni należą, czy są to noże, pałki, siekiery, topory czy motyki. Prócz wymienionych znajduje się mnóstwo innych sprzętów, a między temi wyraźne noże, groty do strzał i dzidy z jaspisu, krzemienia lub kryształu skalnego — niejednokrotnie zdumiewające zręcznem opracowaniem.

W okresie kamienia niema już prawie zwierząt z perjodu potopowego, wymarły lub przeniosły się gdzieindziej z Europy. Brak tu zatem ich szczątków, a nawet i rena, głównego przedstawiciela poprzedniego okresu. Nie znajduje się, co dziwniejsza, także szczątków zająca, który i dziś u narodów na poły dzikich, jak dawniej, jest w pogardzie i nie używany za pokarm. Okres ten obfituje natomiast w wiele gatunków do dziś zwykłych zwierząt, tudzież w szczątki byka pierwotnego, piżmowca, dzikie kozy i kozice skalne. Tu są już pierwsze ślady zwierząt domowych, oswojonych. Z ludów łowieckich stają się ludy pasterskie. Naczynia garncarskie jeszcze surowe i nie palone, ale ozdobione już kilku rzędami sznurkiem idących kropek wklęsłych, u spodu zwężone. W okresie kamienia jednak nie napotyka się jeszcze ani śladu rysunków, rytowania na czem, lub jakiegokolwiek pisma. Tembardziej to zadziwia, że ślady tej budzącej się sztuki odkryto w poprzednim okresie rena, i to w wielu miejscowościach.

Literatura o budowlach nawodnych jest stosunkowo do tej gałęzi geologji dość obfitą. Mamy liczne publikacje w dziełach szacownych panów Kellera, Desora, Troyon, Morlota i wielu innych badaczy, posiadających oraz bogate zbiory tej gałęzi geologicznej. Panu profesorowi Rütimeyer zawdzięczamy dokładny opis znajdujących się w budowlach nawodnych resztek świata zwierzęcego i roślinnego.

Budowle palowe napotykają się najczęściej niedaleko wybrzeży w wielu jeziorach Szwajcarji, jako to: Konstancejskiem, Neufchatelskiem, Genewskiem, Zurychskiem, tudzież koło Pfeffikonu, Inkwylu, Wanwylu i pod Mooseedorf — w tej ostatniej miejscowości po części na gruncie moczary torfowej. W ostatniem zresztą piętnastoleciu odkryto wiele budowli nawodnych z okresu kamienia, a po części z wieku bronzu, późniejszego a bliższego przedhistorycznym czasom, także w wielu innych krajach. Opisano już dokładnie odkryte budowle w Bawarji, Karyntji, Pomeranji, Meklemburgu, tudzież we Francji, Anglji, Irlandji i w górnych Włoszech. Do rzędu tychże budowli należą sztucznie wznoszone, napotkane w Irlandji wyspy w jeziorach i na torfowiskach. Do tegoż okresu zdaje się należy także olbrzymi cmentarz odkryty w Monsheim koło Wormacji.

Oprócz właściwych budowli palowych, znaleziono także niedawno miejscowości na stałym lądzie, nacechowane okresem kamienia, i to nie tylko we wszystkich krajach Europy, ale i w Azji, w Syrji i Palestynie, w Japonji, na wyspie Jawie, w Indjach wschodnich, w północnej Ameryce, i północnej Afryce, a w najnowszych czasach nawet w Egipcie. Ale to pewna, że gładzone te oręże z kamienia pochodzą z czasów nie tak dawnych. Albowiem wiele plemion dzikich ludów do dziś dnia pozostało na stopniu kultury z czasów kamienia. *).

We Francji koło Grand-Pressigny na południe od Tours i w Charbonnières, tudzież w Hennegau w Belgji wykopano prawdziwe składy, jakby starożytne fabryki krzemiennych sprzętów, z których jedne udatne a inne widocznie źle wykonane, odrzucone były.

W kilku pieczarach Francji w departamentach Yonne i Arriège znaleziono trzy rozmaite pokłady jeden na drugim w glinie i rumowisku. Po zbadaniu okazało się, że szczątki zawarte w tych pokładach należały do trzech okresów, a mianowicie mamuta, rena i gładzonego kamienia. Znalazł się więc przypadkowo podział na gromady, jaki jest w podziale wieków przez geologję, w formacjach i gromadach.

Trzeba jednak wiedzieć, że przedhistoryczne okresy istnienia człowieka nadzwyczaj słabo i niewyraźnie różnią się jedne od drugich, przeciwnie zaś, poprzednie geologiczne perjody noszą wszystkie wybitne cechy, po których je można odróżnić, rozgraniczyć dokładnie. Okresy przejściowe, jakkolwiek trwają lat tysiące, mięszają się, spływają niemal w jeden pokład. Tak samo, jak pojedyncze rodzaje zwierząt zamierają powoli, znikają z powierzchni ziemi, tak też i całe ludy znikały w ciągu wieków lub też przenosiły się w inne kraje, a na ich miejsce po cichu i niepostrzeżenie zjawiały się nowe ludy. Niektóre gatunki, jak Stellera Kozkozwierz, ptak dronta, kruk morski, wymarły prawie zupełnie w ostatnich stuleciach, lub też przetrwały do czasów dzisiejszych, jak np. olbrzymie ptaki na Nowej Zelandji i Madagaskarze. A nawet w oczach naszych, ileż to ludów szlachetnych dzikich, a nawet posiadających pewien stopień kultury, ulega pod przemocą tego, co się zwie cywilizacją europejską. Patrzymy na to, jak ludy te posuwają się ku schyłkowi, jak gdyby niepotrzebne były dla teraźniejszości.

Cywilizacja zajmowała coraz szersze zagony od wschodu za zachód. Tym szlakiem szły wszystkie narody, nawet i dziś jeszcze ma to miejsce, pomimo, że germański element pcha się na wschód. Toż i lud budujący na palach w jeziorach zaszedł zdaje się przed 6 do 7000 lat z Azji do Europy. W ogóle zresztą nie należy nigdy spuszczać z oka, jak wielkie zmiany zachodziły w różnorodnych ludach w skutek wędrówek wojowniczych i pokojowych.

*) U wielu starożytnych ludów, a nawet u żydów, jak wiemy z Biblji, utrzymał się zwyczaj używania nożów kamiennych do ceremonij religijnych aż do czasów nowszych, w których dawno już były znane i używane noże kruszcowe, żelazne i inne.

A Indjanie naprzykład Ameryki północnej, tudzież mieszkańcy Grenlandji, używają do dziś narzędzi kamiennych, mało co różniących się od owych z okresów budowli wodnych i rena.

Ludem tym, który pozostawił po sobie olbrzymie ślady w ogromnych budowlach nawodnych, znanych pod nazwą Dolmeny czyli nagrobki olbrzymie, będzie prawdopodobnie ów lud, który zajmował wielkie przestrzenie północnej i zachodniej Europy i północne strony Afryki. Dolmeny składają się zwykle z dwóch pionowo ustawionych głazów kamiennych, na których spoczywa trzeci głaz płaski, zupełnie jak stół. Największe tego rodzaju pomniki znajdują się w Bretanji, mniejsze trochę i w południowej Francji, w Portugalji i północnej Europie, takież w Algierze i całej północnej Afryce, nakoniec także w Nubji, Palestynie i Indjach. Zaprawdę, trudno sobie wystawić, jak mogli ci ludzie bez pomocniczych przyrządów mechanicznych dźwigać i poruszać tak kolosalne ciężary. Jaskinia albo grobowiec znajduje się zawsze pod temi pomnikami w ziemi. Zmarłych grzebano tam zgiętych we dwoje. W pobliżu tych pomników znajdują się najczęściej narzędzia kamienne, napotykają się jednak gdzieniegdzie i przedmioty bronzowe, wytwory czasów już późniejszych. I oto zamiast wieku złotego, o którym śni się naszej wyobraźni, iż istniał za lat niemowlęcych ludzkości — napotykamy tylko okres — kamienny, tylko kamienny, w którym człowiek zaprawdę nie mniej był wystawiony na wszelkie plagi i niebezpieczeństwa w większej jeszcze mierze niż obecnie. Ale cóż, dla każdego z nas w wieku późniejszym, dawne czasy pozostaną na zawsze dobremi, i zawsze wspominać o nich będziemy, jako o latach młodości. (D. n.)

POGADANKI.

XLI.

Nim zdrój wiedzy z nowego uniwersytetu spłynie na sąsiadkę naszą Bukowinę, polały się obficie potoki piwa i wymowy Rzecz ta sama w sobie obojętna, i dla nas staje się godną wzmianki z powodu, iż niektórzy mowcy uznali za rzecz stosowną zajmować się nami. P. Tomaszczuk mianowicie pod względem narodowościowym jeden z tych synów matki Slawji, którym lud ruski nadaje niezbyt w rozumieniu swojem chlubny epitet *perekińczyków*, poszedł nieco zadaleko w nieproszonej troskliwości o nasze dobro. Wyprostowawszy się w całej okazałości i dumie nowochrzczeńca oświaty niemieckiej, i żadnej innej, tylko niemieckiej, ten faryzejczyk nowego zakonu dziękował niebiosom, iż ziomkowie jego bukowińscy nie są jako owi celnicy polscy i madiarscy, którzy odpychają „kulturę“ niemiecką, jakkolwiek wszystko co wiedzą, zawdzięczają Niemcom. P. Tomaszczuk musi być dobrym myśliwym, udało mu się bowiem na jeden strzał palnąć takie dwie nieprawdy, jakich się nie spotyka tak łatwo nawet w anegdotach najgębatszych łowców. Madiary są na szczęście swoje w tem położeniu, że mogą nie troszczyć się zupełnie o to, co się podoba twierdzić p. Tomaszczukowi lub jemu podobnym. Polacy, galicyjscy zwłaszcza i pruscy, nie mogą fałszów tego rodzaju zostawiać bez odpowiedzi. Dla tego też godziłoby się było, skoro już pp. Szujski i hr. Mieroszewski wzięli udział w godach czerniowieckich, ażeby który z nich zwrócił był uwagę p. Tomaszczuka na to, jak mocno minął się z prawdą. Nawet po profesorach reprezentujących uniwersytety polskie

mieliśmy prawo spodziewać się tego, bo urzędowy charakter nie uwalniał ich od obowiązku dania świadectwa prawdzie.

Nieprawdą jest, jakoby Polacy winni byli oświatę swoją Niemcom. Kiedy oświata w Europie zaczynała powoli przybierać cechę więcej narodową, Polacy niczego od Niemców uczyć się nie mogli, bo ci sami po naukę jeździć musieli za granicę. Grali przytem tak małą rolę, że na uniwersytecie paryskim nie stanowili nawet osobnej nacji, ale liczono ich do nacji angielskiej.*) Gdy zaczęto także w nie-romańskich krajach zakładać uniwersytety, Polacy dali się wyprzedzić Czechom, ale nie Niemcom. Wprawdzie podobało się historykom niemieckim nazwać szkołę pragską najstarszym uniwersytetem niemieckim, ale Praga i dzisiaj jeszcze dowodzi im namacalnie, że nie jest niemieckiem miastem i nie była niem za Karola Luksemburczyka. Tym sposobem, najstarszym rzeczywiście niemieckim uniwersytetem staje się wiedeński, o rok *młodszy* od Krakowskiego. Na rozgraniczu średnich i nowych wieków, w epoce odrodzenia, światło z krajów romańskich, a głównie z Włoch, równym strumieniem płynęło do Niemiec i do Polski — u nas i u Niemców było ono zarówno importowanym towarem, a nie przedmiotem własnego wyrobu. Tylko, my pod wpływem tego światła w 16 wieku postawiliśmy nasz język piśmienny na takim stopniu rozwoju, na jakim niemiecki stanął zaledwie w drugiej połowie 18 stulecia. Okoliczność ta, iż język piśmienny niemiecki w 16, 17 i 18 wieku był narzędziem niezgrabnem i nader źle używanem — sprawiła, iż nie było też wcale i „kultury niemieckiej,“ najmniej zaś istniała ona w tym sensie, w jakim ją pojmują pp. Tomaszczuk et consortes. Dlatego też Polacy, czując potrzebę grzania się u wielkich ognisk cywilizacji, udawali się do Padwy, do Bononji, do Paryża. Włochom i Francji należy się zasługa, tak niesłusznie windykowana dla Niemców.

Śmiało powiedzieć można, że nawet odległa Hiszpanja pod względem cywilizacyjnym więcej wpływała na Polskę, niż Niemcy. Te ostatnie były dla Polski chyba fizyczną przeszkodą, znaną w dziejach naszej cywilizacji o tyle, że potrzeba było przebywać ją, ażeby się dostać do krajów oświeconych. Ztąd też poszło, że jak świat cały, tak i my spostrzegliśmy istnienie „kultury niemieckiej“ dopiero, gdy trochę podrosła. Jeden rzut oka na dzieje naszego piśmiennictwa wystarcza, aby się przekonać, jak mało zawdzięczaliśmy Niemcom, a drugi rzut oka na dzieje piśmiennictwa niemieckiego wyjaśni, jak mało im zawdzięczać m o g l i ś m y. Czegoż nas mógł nauczyć ten, co własnym językiem władał, jak sześciomiesięczne dziecię nogami?

Z drugiej zaś znowu strony nie prawdą jest, by Polacy „odpychali“ kulturę niemiecką. Pierwszy Mickiewicz, przekonawszy się, że sąsiedzi nasi od zachodu wypielęgnowali u siebie młode piśmiennictwo o odrębnych, narodowych cechach, począł wołać w niebogłosy, ażebyśmy przestali wpatrywać się wyłącznie w Francuzów, a poczęli studjować Anglików i Niemców. Od tego czasu, tj, od czasu, jak można nauczyć się czegoś od Niemców, Polacy czynią to skrzętnie, i często nawet zbyt wiele zajmują się płodami „kultury“ niemieckiej, która obok własnych, szacownych nader owoców, wydaje *en masse* liche przeróbki oryginałów angielskich i francuskich we wszystkich gałęziach wiedzy i umiejętności ludzkiej. Polak zarówno jak Niemiec przyswaja sobie rad, co gdzie znajdzie pożądanego, ale podczas gdy ten obce pióra wydaje za swoje własne, tamten z wdzięcznością uznaje, co winien drugim.

P. Tomaszczuk dopuścił się atoli fałszu tylko dla tego, że wśród reprezentantów różnych narodowości wahał się może użyć właściwego wyrazu na oddanie swojej myśli. Polacy nie odpychają oświaty niemieckiej, odpychają oni tylko germanizację, i z tego chciał im zrobić zarzut świeżo upieczony profesor świeżo upieczonego uniwersytetu. Miejmy go za wytłumaczonego. Kto nie ma języka ojczystego, wystarczającego wszystkim potrzebom duchowym, ten w istocie dobrze robi, jeżeli się kształci w obcym języku — nie jest to w y n a r o d o w i e n i e s i ę, ale, jeżeli wolno sfabrykować nowy wyraz — w n a r o d o w i e n i e s i ę, przyjęcie znamion człowieka cywilizowanego. Być może, że, jak powiedziałem na wstępie, nazwie kto p. Tomaszczuka *perekińczykiem* — ja nie ciskam na niego tego zarzutu, bo nie znam narodu, któremuby się p. Tomaszczuk sprzeniewierzył. Ale, panie profesorze, kto chodzi w cudzym surducie, ten jeszcze nie ma prawa sarkać na drugiego, że nosi swój własny, odziedziczony po rodzicach! Nie wymagamy od nikogo, ażeby marzł w płótniance wieśniaczej; niechaj nikt nie wymaga od nas, ażebyśmy się przebierali, skoro nam ciepło. Bo i to pewna, że własna szata lepiej i milej grzeje od cudzej.

Jan Lam.

*) Uniwersytet paryski, który powstał jeszcze w 11 wieku, liczył 4 nacje: francuską, pikardyjską, normańską i angielską. Pragski założony w r. 1348 miał nacje: czeską, polską, bawarską i saską. Niemcy później wynieśli się z Pragi do Lipska. Kazimierz Wielki założył akademję krakowską w r. 1364; wiedeńska powstała 1365 i równie jak krakowska w pierwszych latach swego istnienia przechodziła przez różne koleje losu.

Jubileusz Michała-Anioła

przez

DR. ARTURA WOŁYŃSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Florencja d. 20. września 1875.

II.

Powiedziałem wyżej, iż Michał Anioł urodził się 6. marca 1474 w Caprese, gdzie jego ojciec Ludwik był komisarzem czyli rządcą dwóch miasteczek Caprese i Chiusi, położonych na ostatnich kończynach Apenin, dominujących nad płaszczyzną Arna i Tybru w prowincji Arezzo, która w 1384 roku z powyżej wymienionemi miastami została wcieloną do Rzeczypospolitej Florenckiej. Od tych miejscowości rozpoczął się jubileusz, który pod przewodnictwem komitetu florenckiego odbył się tam dnia 13. i 14. czerwca r. b. Powszechnie dotąd mniemano, iż Michał Anioł urodził się w Chiusi, tymczasem nie ulega dziś najmniejszej wątpliwości, iż w Caprese ujrzał światło dzienne. Ojciec jego będąc rządcą dwóch zamków, kolejno po 6 miesięcy w nich przemieszkiwał i właśnie, gdy przebywał w Caprese, Michał Anioł przyszedł na świat z Franciszki di Miniato del Serra, żony Ludwika.

Dnia 12. czerwca komisja florencka złożona pod prezydencją samego syndyka miasta hr. Ubaldino Peruzzi, z czterech członków: Aureliusza Gotti, dyrektora galerji florenckich, Józefa Poggi, mar. Filipa Torrigiani i Adolfa Giannelli wraz z zaproszonymi gośćmi pociągiem rannym kolei rzymskiej udała się do Arezzo, zkąd po krótkim wypoczynku, w powozach przez Anghiari, Borgo San Sepolcro przybyła wieczorem do Pieve San Stefano, gdzie gościnnie wszyscy zostali przyjęci i pomieszczeni. Miasteczko to było wyznaczone na punkt zborny mieszkańców całej okolicy, zroszonej wodami Ara i Tybru.

Rano dnia 13. czerwca liczny orszak złożony z gości i miejscowych mieszkańców ruszył do Caprese, gdzie za miastem na grzbiecie góry wznosi się jednopiętrowy dom o trzech oknach zaokrąglonych w górze, w którym przyszedł na świat Michał Anioł. Tu o 10ej godzinie odsłonięto napis umieszczony nad drzwiami domu świeżo wyrestaurowanego w stylu średniowiecznym, a także w pokoju, w którym Michał Anioł ujrzał światło dzienne. Po kilku mowach i zwidzeniu domu, do 120 osób zasiadło do bankietu przygotowanego przez hr. Montanto, miejscowego dziedzica, w płóciennym szałasie rozpiętym obok siedziby dawnego florenckiego p o d e s t y (rządcy). Wieczorem powrócono do Pieve San Stefano, które wystąpiło z illuminacją, muzyką i ucztą. Oto tekst napisów: Na domu: „Tu — 6 marca 1474 — Ludwikowi Buonarroti — rządcy — w imieniu Rzeczypospolitej Florenckiej — Chiusi i Caprese — urodził się z małżonki Franciszki Del Serra — Syn który był — Michałem Aniołem — a w 1875 roku — Komitet Florencki — wśród radości ludu — który zamieszkuje źródła Arna i Tybru — tę pamiątkę — na inaugurację uroczystości jubileuszowej — w imieniu Italji — położył.“

Na ścianie zaś pokoju, w którym się urodził Michał Anioł czytamy:

„Tu pełne miłości — Sztuki piękne — wlały — wszystkie swe siły — aby jego imię w przyszłości — brzmiało — Michał nieśmiertelny, Anioł (*Michel più che mortal Angel divino*).“

Dnia 14. czerwca rano urządzono pochód przez Alverina do Chiusi gdzie po mowie miejscowego syndyka około południa odkryto następujący napis na ruinach zamku dawnego podesty florenckiego: „Gdzie podesta Rzeczypospolitej Florenckiej — Ludwik Buonarroti — wśród cudów miłości Franciszka z Assyżu — przygotowywał do cudów jeniuszu — swoje niemowlę — Michała Anioła — tu w 1875 roku — Deputowani Florencji dla uczczenia urodzin — pierwszym stuletnim jubileuszem — Prezes całego dzieła — Komandor Ubaldino Peruzzi — Wśród powszechnej radości gminy Chiusi — zawiadywanej przez Andrzeja Montini — Dnia XIV Czerwca — położyli ten napis — na cześć największego artysty i obywatela — tem bardziej drogiego Italji — po czterech wiekach — upokorzenia i chwały.“ Widok ruin i wspomnienie minionej chwały Rzeczypospolitej Florenckiej tak wszystkich rzewnie nastroiły zgromadzonych, iż śniadanie odbyło się bez mów, po którem przez Alverina powrócono do Pieve San Stefano, zkąd wieczorem całe zgromadzenie udało się do Borgo San Sepolcro rzęsisto uiluminowanego i przybranego w zieleń i sztandary, gdzie senator Jan Collacchioni przyjął je gościnnie w własnym pałacu. Dnia następnego miały miejsce uroczyste przyjęcia florenckiej deputacji w Anghiari i Arezzo, gdzie na jej cześć dano ostatnią biesiadę na stacji kolei żelaznej, po której goście pociągiem jadącym z Rzymu powrócili do domu — do Florencji.

III.

Po uroczystościach czerwcowych nastąpił właściwy obchód jubileuszowy który się odbył we Florencji dnia 12, 13 i 14 b. m. a właściwie mówiąc, trwał całe trzy tygodnie, bo umyślnie w tym celu urządzono różne inne zabawy, kongresa etc. aby tem większy napływ gości ściągnąć do miasta i podnieść świetność czterechsetnej rocznicy. Do tych uroczystości pozajubileuszowych należą: Wystawa rolnicza całej Toskanji w klubie Strzeleckim w Kaszynach (Cascine) od 5 do 12; od 7 do 10 kongres medyczno-weterynarski; od 13 do 20 kongres inżynierów i architektów, a zarazem wystawa przyrządów geodotycznych; od 5 do 30 nadzwyczajna wystawa Sztuk pięknych przez Towarzystwo zachęty tychże; od 15 do 19 wycieczki w okolice Florencji; 19 b. m. pierwsze wykonanie mszy żałobnej Verdego, w teatrze *Principè Umberto*, które trzy razy jeszcze będzie powtórzone w teatrze Pagliano dla szerszego koła zwolenników symfonicznych akordów, — sprowadzenie popiołów historyka Karola Botta do Santa Croce dnia 11 b. m. — wreszcie liczny szereg odczytów, zabaw, widowisk teatralnych etc.

Nim przystąpię do opisu samego jubileuszu, należy mi słów kilka poświęcić sprowadzeniu popiołów Karola Botty, który urodził się w San Giorgio w Canavese 6 Listodada 1766, a umarł w Paryżu 10 Sierpnia 1837 roku. Zasłużył się narodowi już to przez sprawowanie wysokich urzędów w czasie panowania Francuzów w Italji za Napoleona I. jużto jako autor *Historji niepodległości amerykańskiej* ogło-

szonej 1809 i *Historji italskiej* od Guicciardiniego do 1789, wydanej 1832 roku, i od 1789 do 1832, wydrukowanej sześć lat pierwej, bo tę część jako naoczny świadek daleko pierwej opracował. Po sprowadzeniu prochów Huga Foscolo z Londynu do Santa Croce w Canavese (północna prowincja Piemontu) utworzył się komitet celem zebrania funduszów na sprowadzenie zwłok swego współobywatela do fiorenckiego Panteonu, i załatwienia z rządami wszelkich w tym celu formalności. Po dopełnieniu takowych, rano dnia 7. b. m. w obecności hr. Nigra ambasadora Italskiego w Paryżu i całego personalu legacji otworzono grób Botty na cmentarzu Montparnasse i znaleziono w nim tylko kości większych rozmiarów (jak czaszka, piszczele, golenie etc) które złożono w potrójnej trumnie, opieczętowano i oddano delegacji kanawezeńskiej złożonej z panów: Bianchetti, radzcy prowincjonalnego, syndyka z San Giorgio i doktora Jerzego Regoletti, jacy wraz z prochami stanęli wieczorem dnia 10. b. m. Dnia następnego o 5. wieczorem odbyło się uroczyste przeprowadzenie zwłok do Santa Croce, gdzie pochowane zostały przed ołtarzem w nawie pobocznej — zaraz za pomnikiem Galileusza. Nad grobem, po oddaleniu się duchowieństwa, które w bramie kościoła przyjęło prochy, przemówił najpierw adw. Guglielmi, prezes komitetu Kanawezeńskiego, który miastu oddał zwłoki zasłużonego historyka, następnie hr Peruzzi, syndyk naszego grodu, w końcu Scypion Botta, syn zmarłego —a raczej pan Moretti notarjusz, gdyż syn z rozrzewnienia i serdecznego płaczu nie mógł odczytać swej mowy, pełnej wdzięczności dla kraju za honor oddany jego Ojcu — gorącemu patrjocie, zacnemu obywatelowi i najlepszemu opiekunowi własnej rodziny. Scypion Botta jest już siedmdziesięcioletnim starcem, i tylko na prośby hr. Peruzzi dał się namówić na podróż do Florencji, która oprócz tego przechodziła jego zasoby finansowe. Przybył więc tutaj ze zwłokami ojca, a wyjechał do Turynu, gdzie jest professorem, dnia 15. b. m.

W pogrzebie Botty oprócz różnych władz miejscowych, stowarzyszeń i zakładów naukowych, wzięli udział liczni reprezentanci zagraniczni, którzy tu przybyli na jubileusz Michała Anioła, przedstawiciele Senatu, Parlamentu, prasy miejscowej i zagranicznej, wreszcie kapitan Della Rovere, ordynans, i jenerał Dezza, adjutant królewski, przez samego króla Wiktora Emanuela przysłani dla reprezentowania go i jego dworu. Obecnie komitet z Canavese gorliwie zajmuje się, aby jak najprędzej w Santa Croce stanął pomnik godny kraju, świątyni i zasłużonego historyka.

IV.

Uroczystości jubiluszowe florenckie rozpoczęły się wieczorem dnia 11 b. m. w klubie literackim (Circolo filologico) zajmującym dawny lokal syndyka na pierwszem piętrze w pałacu Feroni, gdzie o god. 9. pan Ryszard Taruffi, urzędnik kolei rzymskich poświęcił swój odczyt Michałowi Aniołowi, jako poecie. Po skończeniu godzinnej prelekcji otwarty został buffet z lodami i chłodnikami i rozmowa drobnych kółek przeciągnęła się do północy. Oprócz zwykłych członków zgromadziło się kilkaset osób zaproszonych, zwłaszcza cudzoziemców i zagranicznych reprezentantów, tak iż wszystkie sale—a jest ich jedenaście—były pełne. Duszą zgromadzenia była pani Emilja Peruzzi, żona tutejszego syndyka, która witając dawnych przyjaciół, chętnie robiła znajomość z przedstawionemi jej osobami, które znowu zbliżała z innemi znakomitościami krajowemi i z zagranicy. Słowem, gdzie tylko się ukazała, do kogo przemówiła, każdemu oddała usługę lub zapewniła swą pomoc w razie potrzeby, a rzeczywiście każdy pragnący widzieć wszystko i wszystkiego być uczestnikiem, wielce jej potrzebował.

Program dnia 12. września jest bardzo rozległy. Rano dzienniki ogłosiły życiorys Buonarrotiego z jego portretem, o 10ej miało miejsce rozdanie nagród na wystawie rolniczej, od 12ej do 2gej w sali *Cinquecento* w Palazzo Vecchio koncert; od 3 do 8 pochód uroczysty na plac Michała Anioła, wieczorem przyjęcie u prefekta Florencji, wreszcie zabawy ludowe w Tivoli i bankiet drukarzy, który dawali hr. Peruzzi syndyk miasta, kom. Aureliusz Gotti, autor życiorysu Michała Anioła i Hektor Buonarroti, ostatni potomek tej rodziny w wojsku służący.

Koncert dany w sali Leona X. czyli *Cinquecento* tem się głównie odznaczał, iż wzięło w nim udział przeszło 100 najlepszych artystów florenckich pod dyrekcją Jefte Stolci. Najlepiej podobały się publiczności *Abbando* Mananiego wykonany przez 10 wiolenczelistów, Medytacja Gounod'a na samych smyczkowych instrumentach wykonana i Symfonja Rossiniego z Semiramidy. Dwa madrygały Michała-Anioła *Deh' dimmi amor* i *Jo dico che tra voi* jeszcze w 1565 roku podłożone do muzyki i śpiewu przez Rampazetto, mimo starannego wykonania, przez tak liczną orkiestrę i również liczny chór śpiewaków zupełnie entuzjazmu nie wywołały w publiczności, która była przywiedzioną do rozpaczy, gdy się ukazał młody artysta L. Breitner, umyślnie z Niemiec przybyły, i zaczął na fortepjanie wykonywać różne kawałki z Chopin'a, Mendelsohn'a, Gluck'a i Rubinsteina. Powszechnie zarzucano komitetowi, iż na uroczystość Michała Anioła obrał tak niestosowny program koncertu co do fortepjanu, którego najsilniejsze akordy z całem uczuciem, mocą i niezrównaną techniką wydobyte przez Breitnera, ledwo dały się słyszeć w olbrzymiej sali i dla tego dla ogółu publiczności cała część fortepjanowa została niezrozumianą. Wieczorem w czasie recepcji u markiza Montezemolo o 10ej godzinie miał miejsce drugi koncert, wykonany przez kilku solistów na fortepjanie, skrzypcach, harfie i śpiewaków. Szczególniej panna Helena Varesi zasłużyła sobie na powszechną admirację i uznanie, bo z wdzięcznym sopranowym głosikiem łączyła piękną urodę i wykwintną toaletę. Na recepcji tej było 2.800 osób, to jest ledwo trzecia część zaproszonych. Płeć piękna była reprezentowaną przez 40 okazów, przeważnie reprezentujących początek obecnego stulecia. Cudzoziemcy odznaczali się nietylko odrębnością dekoracji ale także ilością orderów; niektórzy, a zwłaszcza Francuzi, całe piersi mieli pozasłaniane szerokiemi wstęgami różnokolorowemi. Ze znakomitości włoskich, które tylko w małym stosunku wzięły udział w tej zabawie, zwracał na siebie uwagę komandor Sylwjusz Spaventa, minister robót publicznych z wielką wstęgą orderu *Korony Italskiej* i ks. Eugenjusz Savoia-Carignano, który na jubileuszu reprezentował osobę króla i umyślnie w tym celu przyjechał z Turynu. Po koncercie otwarte zostały dwa wielkie bufety, w których znajdowały się wszelkie rodzaju ciasta, lody i napoje chłodzące. Świetność tego przyjęcia trzy rzeczy podnosiły: iluminacja całego pałacu, a zwłaszcza wewnętrznego dziedzińca przybranego w kwiaty i fontanny, wielki taras przylegający do sal bufetowych i wreszcie przepyszny apartament prefekta, kosztem prowincji urządzony na pierwszem piętrze w pałacu Riccardi, przed rokiem kupiony od rządu. Pałac Riccardi należy do najpierwszych florenckich budowli tego rodzaju. Zbudował go Kozym stary 1430 r. według planu M. Michelozzi, następnie zaś Benozzo Gozzoli (1496) i Luca Giordano (1683) znakomici malarze, ozdobili go alfreskami, które dotąd turyści podziwiają. Od 1488 do 1492 w pałacu tym mieszkał Michał Anioł, najpierw jako kształcący się artysta, a następnie jako dyrektor ogrodów, to jest muzeum św. Marka. Utrzymują, iż okna dolne zostały przerobione według wskazówek Michała Anioła.

Pałac ten różne przechodził koleje, najpierw był własnością Medyceuszów, którzy w 1659 r. sprzedali go Riccardim, od nich zaś przeszedł na własność rządu w 1814 r. i od tego czasu służąc na pomieszczenie dykasterji centralnej administracji, z wyjątkiem kilku sal dolnych i tych, gdzie się mieściła bibljoteka Riccardiana, był nieprzystępny dla publiczności, a zwłaszcza dla miłośników sztuki. Skutkiem różnych kolei tylko alfreski na sufitach dochowały się w świeżości i po raz pierwszy goście markiza Montezemolo mogli je podziwiać przy rzęsistem świetle żyrandoli i kandelabrów. Artyści zwłaszcza niemieccy nie jednę tego wieczora stoczyli między sobą polemikę z powodu owych alfresek, które bardzo pięknie się odbijały na tle gobelin, jakiemi obito wszystkie ściany ośmiu wielkich sal, stanowiących na pierwszem piętrze cały apartament frontowy od ulicy *Cavour* i *San Lorenzo*. Dodawszy do tego piękne adamaszkowe i aksamitne meble złocone, liczne stoły mozajkowe i misterne dywany angielskie i belgijskie, jakiemi pokryto całe posadzki, wreszcie kilkanaście starożytnych figur marmurowych, w całej okazałości przedstawi się nam recepcyjny apartament prowincji florenckiej. W całej Europie równie pięknego i okazałego apartamentu nie widziałem. (C. d. n.)

Listy z Krakowa.

Kraków d. 5. września.

Przyrzekliśmy więcej napisać, gdy chorzy zdrowymi z kąpiel powrócą; lecz dziś widzimy, że z obietnicy trudno się nam będzie wywiązać. Chorzy zamiast zabawiać Kraków opowiadaniami o Włoszech, Niemczech i Szwajcarji, gderają jeszcze więcej, narzekając na wszystko bez wyjątku: że Herteux gorzej robi kotlety niż Sacher, a Redolfi nie może się porównywać z Demlem. Nie można się jednak dziwić; nie można paniom i pannom przybyłym z zagranicy zarzucać złego humoru, zważywszy, że cele tych kąpielowych podróży zupełnie się nie udały.

Pani L. nie odzyskała dawnej swej świeżości; panna K. nie tylko nie znalazła męża, lecz nawet nie spotkała żadnego wielbiciela swoich wdzięków; a pan W. który co rok po wszystkich jeżdżąc wodach dotąd nie znalazł dobrych na swoję chorobę, tego roku od morza do morza przebiegał, a pomimo tego posażnej nie wyszukał jedynaczki. *O tempora! O mores!* Inaczej to dawniej bywało! Niegdyś u nas ojcu za córkę płacono, dziś ojciec i to grubo dopłaca, by jaki epouseur raczył wziąć ukochaną pieszczotkę, wraz ze wszystkiemi kaprysami, kapeluszami i ogonami. Ale *à propos* ogonów, o których tak dużo mówiły dzienniki warszawskie, a które „Kronika krakowska“ zupełnie chciała wyrugować, jak? tego nie wiemy, chyba nakładając podatek na każdy ogon, przekraczający wymiar prawem naznaczony. Wiemy, że w XIV wieku mieszczki krakowskie surowo były karane za czuby wyższe, niż dozwalało prawo magdeburgskie, dla czegoż więc nie mielibyśmy się do przeszłości odwołać, do tej przeszłości o tyle lepszej od teraźniejszości! Burmistrz Krakowa, jak się zdaje, inaczej postanowił. Widząc że nic nie pomagają artykuły dziennikarskie, wydał rozkaz nie zamiatania ulic; rozkaz energiczny odniósł pożądany skutek, na ulicach dwucalowy kurz, a panie dźwigają ciężkie suknie, znosząc cierpliwie te polskie, barbarzyńskie szykany. Bo czyż nie są to szykany? Za cóż — jakiem prawem, mamy my, mężczyźni, co odkąd świat istnieje nie nosiliśmy ogonów, dziś połykać tumany pyłu?

Kraków po dwumiesięcznym śnie zaczyna się budzić: hotele, ulice, a szczególnie restauracje i cukiernie pełne, kasjer na wystawie Sztuk pięknych nie zasypia, księgarz z nudów nie mdleje, owszem bardzo często jakiej pięknej pani tłumaczy, że francuskich romansów nie opłaca się sprowadzać. Czasem nawet mignie galonowy lokaj na dwukonnej dorożce, lecz o ekwipażach jeszcze ani słychu; te pojawiają się dopiero w grudniu z wielkiemi kolorowanemi herbami nowo kreowanych rzymskich hrabiów.

Taki jest powierzchowny charakter miasta. Rzućmyż teraz okiem na literaturę i sztuki piękne, ciągle radzącą a nic nie mogącą uradzić Radę miejską, a zobaczymy, że pozory czasem mylą.

Na początku tego miesiąca literaci i redaktorzy pism polskich dali sobie niejako *rendez-vous*. Bawili tu dni kilka redaktorowie *Gazety Toruńskiej, Kurjera Warszawskiego* i wydawca *Tygodnika illustrowanego*; jeden przejeżdżał przez Kraków zwidzając ziemie polskie, drugi zawierał umowy z leniwymi panami literatami i leniwszymi jeszcze artystami; trzeci korzystał z bytności naszego poety Lenartowicza. Pan Lenartowicz wielkie daje dowody swojej przychylności dla naszego miasta, odraczając dla nas tak przykry swój odjazd; pokazuje nam nie słowem, lecz czynem, że kocha swoją ojczyznę i smutno mu opuścić nasz gród starożytny. Wszyscy też pobyt poety w mieście oceniają. Pokoik jego skromny przepełniony prawie cały dzień tymi, którzy poczytują sobie za prawdziwe szczęście znajdować się chwil kilka w towarzystwie poety, usłyszeć od niego kilka słów otuchy i pociechy. Obrzucają go prośbami, by im parę słów wpisał do albumu, by się zaciągnął w szeregi podpisów znakomitości polskich... wszystkie te życzenia chętnie wypełnia poeta. W tych dniach udał się na Wolę, majątku należącego do księżnej Czartoryskiej, w celu zwidzenia szkoły ludowej. Przyjmowały tam poetę skromnemi lecz z serca płynącemi wierszykami wiejskie dzieci, przemówił rzewnie poeta, odpowiedział i podziękował serdecznie wójt gminy. Była to uroczystość prawdziwie polska.

Sprawa p. Walewskiego wcale się nie zaciera. *Szkice* coraz gwałtowniej występują, oburzając się,

że autor *Filozofji* nie myśli emigrować z naszego miasta. Smutno by było p. Walewskiemu opuścić to miasto tak mu przez tyle lat przychylne; smutno mu rozstać się dobrowolnie z temi tryumfami, które tu osięgał, jak pochwały Akademji, pochlebne recenzje, te wykrzykniki do przyszłych dziejów Filozofji! *Szkice* słysząc, że niejeden przygotowuje obronę Filozofji, nie przypuszczają nawet takiej śmiałości, lecz tym razem mylą się, bo gdy poczekamy gotowa pojawić się obszerna i rehabilitująca krytyka w *Przeglądzie krytycznym*, który w ostatnim numerze *Dramatowi bez nazwy* niepoślednie miejsce w literaturze polskiej przeznaczył.

Zresztą to rzecz całkiem prywatna... Każdemu wolno mieć swoje zdanie... Pojmują tę wolność nocni przeciwnicy filozofa i niemal na wszystkich rogach ulic rysują szubienice z różnemi napisami, jak np. „Pan Antoni Walewski, zaprzedany Moskwie, zdrajca kraju!“ ale to jest zdanie zupełnie prywatne — i do tego ludzi, którzy z pewnością nie wiedzą, kto jest Mickiewicz, lecz wiedzieć będą, czem jest p. Antoni Walewski.

Zjeżdzają się już do Krakowa literaci i artyści, którzy lato na wsi przepędzali; przybył p. Asnyk, ks. Kalinka, jak słyszymy na dłużej; szkoła malarska rozpoczęła swoje wykłady z dniem 1. października, przybywają więc także malarze i młodzi uczniowie szkoły malarskiej. Na wystawie Sztuk pięknych oglądamy wcale piękne rzeczy i śmiało możemy powiedzieć, że wystawa krakowska w niczem nie ustępuje wystawie np. Drezdeńskiej lub Wiedeńskiej, jeźli nie ilością to doskonałością niektórych znajdujących się obecnie obrazów.

Przybył po długiej podróży *Dzwon Zygmunta* Matejki z chlubnym napisem *hors concours*, który zmusza znawców do wyszukiwania błędów jak np. że żyłka pewnego człowieka sznur trzymającego, mniej jest naprężoną, niżby być powinna. *Iwan Groźny* nadzwyczajnym kolorytem zadziwia, lecz nie pociąga. Nadto znajdują się jeszcze i inne obrazy Matejki, jak portrety pani Pusłowskiej, Cieleckiej i hr. Moszyńskiego. Oglądamy także znany, lecz nie sympatyczny obraz Stattlera: *Machabeusze*, darowany niedawno przez panią Helzlowę Towarzystwu; podziwiamy piękne płótna Kotsisa, między któremi celuje *Bachantka*, sławne *Szachy*, arcydzieło pani Skirmuntowej, wreszcie już dawno na naszej wystawie znajdujące się dwa portrety Rodakowskiego: *Ks. Aleksander Czartoryski* i *Kardynał*. Oprócz tego dwa konie wyścigowe Kossaka, kilka akwarel Artura Grottgera, obrazy młodych artystów w Monachjum kształcących się, i wiele innych już znanych. Zwracają również uwagę, lecz już nie pięknością ani myślą wzniosłą, dwa obrazy Wojciecha Gersona, z których jeden przedstawia Żydów domagających się od Kaźmierza Wielkiego przytułku w Polsce; lecz darmo szukać tutaj żydów, a oprócz tego dużo jeszcze możnaby wykazać błędów w układzie i wykonaniu. Lepszą jest wielka kompozycja *Krzyżacy w XIV. wieku. Konrad Wallenrod* p. Eljasza nie wytrzymuje żadnej krytyki. Mówiąc o malarstwie, trzeba oddać sprawiedliwość paniom, których imiona czytamy podpisane na różnych obrazach. Dotąd nie było sławnej malarki, może XIX wiek ze swoją emancypacją wyda jaką znakomitą artystkę. Panna Cukrowicz robi dość dobre kopje z współczesnych utworów; panna Gieppert kopjuje wcale dobrze Rembrandta, a pani Wysłobocka kopjuje i oryginalne tworzy kompozycje, ale te nie grzeszą ani głęboką myślą ani poezją, do czego mają pretensję. Są to malutkie, płyciutkie obrazki, jak np. *Czytająca panienka*. Zaręczamy, że nic więcej nie robi, tylko czyta książkę, nie bardzo ją zajmującą.

Między rzeźbami kilka pięknych znajduje się rzeczy, lecz wszystkie nikną przy tej niezrównanej *Opuszczonej*, p. Lipińskiego; ale ta *Opuszczona* prawdziwie jest opuszczoną bo dwa lata już u[?]ywa, jak stoi na Wystawie a nikt się o nią nie spyta, zaledwie raczy popatrzeć, a cóż dopiero kupić! Czyż taka u nas bieda, że najlepsze utwory naszych artystów, amatorów znaleść nie mogą, lub czy taka obojętność na wszystko, co piękne? Zdaje się, że raczej to drugie, bo widzimy po wszystkich przedmieściach wznoszące się wspaniałe budynki ozdobione niezliczonemi gipsaturami, ciosowemi herbami, mieszczące w sobie wszystko, o czem bogaty Rzymianin w chwilach największego zepsucia mógł zamarzyć. Znajdują się tam i wspaniała łazienka, fajczarnia, sala balowa, sala koncertowa marmurem wykładana. W takich wspaniałych pokojach bardzo by ładnie wyglądały utwory naszych artystów. Jak widzicie, wspaniałe się wznoszą w Krakowie pałace, kamienice, dworki w najrozmaitszych stylach albo i bez stylu; architekci rady sobie dać nie mogą, a cegły do tego stopnia zabrakło, że niejeden musi budowli zaniechać. Zdawałoby się więc, że przy tak wielkiej liczbie nowych budynków mieszkania powinne stanieć, a tu przeciwnie, nie tylko że nie potaniały ale ich zupełnie nie ma; napływ więc wielki, z czego się bardzo panie cieszą, wróżąc świetny karnawał. Inaczej jednak ma się z budowlami przez miasto przedsięwziętemi: te używają błogiego spokoju, ciesząc się nadzieją, że prędzej ze starości runą, niż z rozkazu Rady miejskiej obudzą się do nowego życia. Cztery lata radzono nad Sukiennicami, dwa lata kłócono się, czy lepiej je zburzyć, czy zostawić, dwa lata, czy odnowić, a teraz, jak odnowić? Niespodziewanie zatwierdzono plany p. Prylińskiego, otoczono Sukiennice wysokim parkanem, przygotowano wielkie budy na materjał, wystawiono nawet napis „Wstęp nie należącym do budowy wzbroniony“, lecz ciekawy przechodzień nie dojrzy przez szpary w parkanie, ani należącego ani nie należącego do budowy!..

Tylko mnie nie pytajcie o zabawy naszego miasta!.. Nie pytajcie, czy są jakie rozrywki, bo doprawdy nie wiem, co odpowiedzieć. Nie ma teatru, bo jak wiecie po ostatnich w Krakowie stratach, śmiercią męczeńską życie chcąc zakończyć, i w płomieniach zginąć, wyjechał w tym celu do Tarnowa, lecz tak mu brak odwagi, że ile razy jaki przechodzący dobrodziej ogień tam podłoży, to nasz teatr zawsze go w zarzewiu zagasi. W ogrodzie strzeleckim pustka, w dni koncertowe prawie zawsze słota, a jeśli zabłyśnie kiedy pogoda, to orkiestra twierdzi, że się na deszcz zanosi i pomimo porozlepianych plakatów, pomimo przygotowanych twardych kapłonów, wodnistych lodów i suchych ciastek, wszystko w domu siedzi. Zostają jeszcze jedyne planty, lecz te smutny przedstawiają widok; mieszczuchy z konieczności tylko używają po nich przechadzki, a cały dzień zabawiają się w alejach mamki, niańki, bony i dzieci, które z wózkami, końmi, kołyskami, bawiąc się w ciuciubabkę, patrzą z oburzeniem na każdego starszego przechodnia, jak Liliputy na śmiałego i ciekawego Anglika. Oto zabawy naszego miasta, oto nasze rozrywki, którym gdybyś się zupełnie oddał, nie szczędząc grosza i czasu, cudu dokażesz, więcej jak guldena wydając.

Do poduszki dopiero, jakby na deser całodziennych przyjemności, chowamy sobie *Czas* i błogo usypiając, czytamy ciekawy fejleton, opisujący zwykle z najdrobniejszemi szczegółami jaką dawną polską rzekę. W tych dniach, ku wielkiemu zadowoleniu publiczności, pojawić się ma w tem piśmie ciekawy i historyczny opis pewnego strumyczka (obecnie wyschniętego) a ongi wpadającego do Wisły.

W. Ł.

BIBLIOGRAFJA.

Francuska.

— Oeuvres Choisies de J. Słowacki. Beniowski, Le tombeau d'Agamemnon. — Mon testament Traduction de Jules Mien. 2me livraison. Cracovie, 1875.

Książeczka, którą mamy przed sobą, przynosi nam dalszy ciąg wyboru poezyj Słowackiego, w przekładzie francuskim p. Jul. Mien. Znajdujemy w niej ustęp z XI. pieśni „Beniowskiego“ (Wernyhora), „Grób Agamemnona“ i „Mój testament“. Pierwsza z tych poezyj jest wolno tłómaczona, naśladowana prawie, dwie drugie noszą na sobie cechę pilnych studjów nad charakterem genjuszu Juljusza i wielkiej staranności w odtworzeniu go jak najściślejszem. Jednakże z małą odmianą, powtórzyć tutaj musimy, cośmy niedawno o „Mnichu“ mówili. Pan Jules Mien, ze względu na wyborną znajomość naszego języka, jest jedynym tłómaczem, jakiego dla skarbów poezji naszej moglibyśmy pragnąć. Jednakże na początek wybrał sobie nader ciężkie zadanie. Nie masz może w całej literaturze naszej pisarza, którego by trudniej było w obcą odziać sukienkę, jak Słowacki. Główna charakterystyka jego genjuszu leży w nieograniczonej świetności formy, we właściwych jemu tylko wyrażeniach i zwrotach, w muzyce nawet samych dźwięków słowa, których dobór nastraja myśl czytelnika smętnie, lub wesoło, daje koloryt zdarzeniom i ludziom występującym w jego utworach. Otóż tę stronę Słowackiego pochwycić i oddać to nieprzezwyciężona prawie trudność dla cudzoziemca. Pan Jules Mien dotąd nie potrafił jej także zwyciężyć. Pojęciu jego i wmyśleniu się w intencje naszego wieszcza nic nie podobna zarzucić, — ale formie jeszcze bardzo wiele. Najwydatniej to się odbija w „Grobie Agamemnona“, gdzie potężna energja wyrażeń jest główną cechą. Cecha ta znika częstokroć w przekładzie, zmiękczona, rozpuszczona w omówieniach, lub zatarta przez dodatek jednego nie zbytecznego, choć może tłómaczowi ze względów formy potrzebnego wyrazu.

Zobaczmy:

Mnie od mogiły termopilskiej gotów
Odgonić legjon umarłych Spartanów;
Bo jestem z kraju smutnego Ilotów,
Z kraju — gdzie rozpacz nie sypie kurhanów!
„Z kraju, gdzie zawsze po dniach nieszczęśliwych,
Zostaje smutne pół-rycerzy-żywych!“

A przekład:

Aux Thermopyles? — Non! — Les héros Spartiates
Pourraient bien me chasser du glorieux tombeau;
Car sur mon front se lit „en lettres écarlates“
Que le pays Ilote, helas! fut mon berceau,
Ce pays, ou jamais le desespoir n'érige
D'heroiques tombeaux; „ou les jours de revers,
La moitié des guerriers, que frappe le vertige
Accepte des vainqueurs et la vie et les fers“.

Albo:

Tu łożem suchego potoku,
Gdzie zamiast wody płynie laur różowy.“

Przekład:

„Voici le lit d'argile
Que les fleurs des lauriers recouvrent maintenant“.

W tych „płynącychlaurach“ i „półrycerzach-żywych“ jest cały Słowacki! W przekładzie wszystko to samo — a jednakże nie to samo! Wierzymy jednak i to na podstawie kilku innych zwrotek, gdzie nieraz nader szczęśliwie p. Mien oddał ekspresje Słowackiego,—że przezwycięży on i tę wielką trudność odtworzenia formy Juliusza i przedstawi go ziomkom swoim w całym majestacie jego genjuszu. W tem przekonaniu utwierdza nas także świetnie dokonany przekład wiersza „Mój testament“.

Nie możemy się powstrzymać od przytoczenia paru ustępów na dowód;—bez przekładu, piękny ten wiersz bowiem powszechnie jest znany.

Je vécus avec vous, je pleurai, je souffris,
A tout coeur généreux mon coeur fut accessible.—
Aujourd'hui, je vous quitte.—En cette heure penible,
Je m'efface dans l'ombre et retourne aux esprits...
Et delaissant ces lieux, je sens mon ame triste
Comme si je pensais, quele bonheur existe.

Je ne laisse personne, ici bas, après moi
A qui léguer mon nom; nul poète à ma place,
Et comme un vif éclair, qui traverse l'espace,
Mon nom, sans emouvoir du monde le coeur froid,
Dans la postérité, fugitif et rapide
Passera sans jeter un écho dans le vide!

W zakończeniu tej krótkiej wzmianki pozostaje nam tylko wyrazić p. Mien wdzięczność, w imieniu ogółu za chęć zapoznania Francji z jedną z najświetniejszych gwiazd naszych i prosić go o serdeczne przyjęcie tych pobieżnych uwag, które nam głębokie zajęcie się jego pracą podyktowało.

W dalszym ciągu tego wydawnictwa następujące rzeczy znajdują się już pod prasą: Mnich; Smutno mi, Boże; Poeta i natchnienie, fragment; Wschód słońca nad Salaminą. — W rękopisie zaś u p. Mien spoczywają: Anhelli, Lilla Weneda i Mazepa. — Oczekujemy na nie z niecierpliwością.

W. O.

Niemiecka.

— Wahrheit und Irrthum im Darwinismus. Eine kritische Darstellung der organischen Entwickelungstheorie von Eduard von Hartman. Berlin, E. Duncker. 1875. Gr. 8. 4. M.

Nie znamy w historji literatury teorji, któraby w tym stopniu poruszyła umysły, co teorja Darwina. Jej zwolennicy z prawdziwym fanatyzmem uważają darwinizm za największą zdobycz wszystkich czasów. Z dru-

giej strony utworzyła się partja przeciwna, uważająca darwinizm za teorję bezpodstawną i odrzucająca wręcz wszystkie dogmaty Darwina. Między temi dwiema ostatecznościami stanęła partja pośrednia, przyjmująca tylko pewną część nauki angielskiego myśliciela; pozostała ona jednak w mniejszości. Tak walczono za i przeciw Darwinowi, a dziełami i pismami polemicznemi, odnoszącemi się do tego przedmiotu, możnaby zapełnić całą bibljotekę. Pomimo tego jednak nie posiadaliśmy jeszcze książki należycie tę kwestję wyświecającej. Z dzieł dotąd o darwinizmie traktujących zasługiwały najbardziej na uwagę prace Köellikera, Wiganda i Baumgärtnera. Stają jednak, zwłaszcza dwa pierwsze, na zbyt krańcowo-nieprzyjaznem stanowisku, aby mogły być uważane za niejednostronne. Dopiero Edward Hartmann, filozof berliński, posiadający rozległe przyrodnicze wiadomości i autor znanego dzieła *Philosofie des Unbewussten* opracował krytycznie teorję Darwina. Nowe to dzieło jest przeważnie treści przyrodniczej, i jak inne tego autora zrozumiałe nietylko dla uczonych ale i dla szerszej publiczności. Samtytuł książki wskazuje, że autor położył sobie za zadanie dowieść, że część nauki Darwina jest prawdziwa a część nieprawdziwa. Dzieło to tak jest napisane, że pozostawia zupełną swobodę czytelnikowi co do osądzenia tej teorji.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura i sztuka.

— Jan Matejko dyrektor krakowskiej szkoły Sztuk pięknych, od dłuższego już czasu stara się u rządu o potrzebne fundusze na reorganizację tejże szkoły. Niedawno p. Matejko był w tej sprawie we Lwowie. Zastępca namiestnika p. Bartmański przyrzekł poprzeć jego projekt we Wiedniu. Mamy nadzieję, że nasz minister i polscy członkowie Rady państwa zajmą się szczerze tą sprawą, aby ją pomyślnie załatwić. P. Matejko w razie, gdyby projekt jego nie został przyjęty, postanowił ustąpić z posady dyrektora szkoły.

— J. I. Kraszewski otrzymał niewydany dotąd poemat Ignacego Krasickiego, ważny dla historji sejmu czteroletniego pt: „Organy"—i pisma do niego się odnoszące. Pan Kraszewski zamierza wydać go z komentarzem jako dodatek do Polski w czasie trzeciego rozbioru.

— W archiwach państwowych w Haadze znajduje się manuskrypt dziennika Chrystjana Konstantego Rumpfa, sekretarza przy Piotrze de Eroot, który w r. 1672 był ambasadorem Prowincyj Zjednoczonych w Paryżu. Manuskrypt ten nosi tytuł: *Journal vant geene my Binnen Parys de hoost stadt van Vranckzyck. Suit den 23 marty A. 1672. Christian Constantin Rumpf, secretaris.* W zbiorze tym, w liscie z daty 1673, znajduje się wiersz po łacinie, odnoszący się do śmierci Jana Kazimierza a poświęcony Polsce. Brzmi on jak następuje:

Epitaphium libertatis Poloniae.
Quae nimia regum indulgentia nata,
Nimia senatorum arrogantia aucta,
Nimia equestris ordinis licentia vexata,
Nimia omnium avaritia prostituta
Tandem
Facta est sub tributo,
Principis ignavia
Magnatum pusillanimitas,
Populi insania,
Vicinorum politica,
Remotorum cunctatio,
Universitatis cecitas,
Lacrimis totius christianitatis
Monumentum servitutis
Posuere.

— Nowe dzieło Wiktora Hugo p. n.: *L'art d'être Grandpère*, o którem donosiliśmy kilkakrotnie, ma się niewątpliwie pojawić w jesieni rb. Ci, którzy je w manuskrypcie czytali, twierdzą, że zrobi niesłychane wrażenie.

— W berlińskim teatrze „Rozmaitości" przedstawiają teraz pięcioaktowy dramat pn: „Günter von Schwarzenberg" — którego autorem jest niejaki Hübner, oberżysta hotelu „Weisser Hirsch" w Schwarzburgu. Autor pisał ten utwór nie mniej, nie więcej, tylko 40 lat.

— Monachijski fotograf Obernetter otrzymał od bawarskiego ministra oświecenia polecenie odfotografowania wszystkich skarbów sztuki znajdujących się w bawarskiem muzeum narodowem.

— Wiedeńską operę komiczną wzięło konsorcjum złożone z finansistów. Rosenfeld został mianowany dyrektorem. Otwarcie opery nastąpi d. 20 bm.

— W Paryżu założono nowe obserwatorjum dla astronomji fizykalnej.

Pomnik dla Agenora hr. Gołuchowskiego.

— Z Wydziału Krajowego otrzymaliśmy następujące pismo: Odezwa. Minęło zaledwie kilka tygodni, kiedy po kraju rozeszła się smutna wieść o zgonie męża, który w ostatnich dwudziestu pięciu latch stał z małemi przerwami u steru rządu naszego kraju. Wspaniały dobrowolnym udziałem wszystkich warstw społeczeństwa obrzęd pogrzebowy, szczery żal po tej stracie, a przedtem ogólna troska o przebieg choroby, były jawnemi oznakami, iż kraj umiał ocenić zasługi zmarłego Namiestnika, wiernego doradcy i sługi monarchy, a zarazem obywatela przywiązanego do rodzinnej ziemi. Wiedziony uczuciem zasług zmarłego, zasług zdobytych w ćwierćwiekowej pracy, często wśród sytuacji najeżonej trudnościami, do których przełamania lub złagodzenia trzeba było niezłomnej energji, wytrwałości a poniekąd i często zaparcia siebie samego, Wydział krajowy sądzi, iż trafił w myśl ogółu powziąwszy postanowienie zajęcia się wystawieniem pomnika dla śp. A. hr. Gołuchowskiego. Dla tych, co go znali, dla generacji dzisiejszej pamięć zmarłego pozostała i pozostanie żywą i bez pomnika, godzi się jednak, by żal nasz po stracie i uznanie zasług zmarłego przekazać potomności, by pomnik wzniesiony przez nas, podając pamięć zmarłego odległym pokoleniom, był zarazem świadectwem dla nas, iż umieliśmy ocenić pracę, mozoły i zasługi obywatela i męża stanu. Myśl i zamiar nasz znalazły przychylny odzew u władzy rządowej, już bowiem w piśmie Prezydjum c. k. Namiestnictwa z d. 6go września br. do l. 6656 uzyskaliśmy w odpowiedzi na pismo nasze z dnia 31. z. m. do l. 20365 pozwolenie do zbierania składek. Odwołujemy się przeto do serc współobywateli, wzywając w imię właściwej narodowi naszemu wdzięczności do składania datków. Szczędząc dalszej zachęty, jako zbytecznej, w imię zasług zmarłego i należnej od nas wdzięczności prosimy o składanie datków wprost do Wydziału krajowego na ręce władz duchownych i świeckich (rządowych, sądowych i autonomicznych), do których równocześnie stosujemy nasze wezwanie. Skoro składki wzrosną do funduszu potrzebnego na pomnik, godny pamięci zmarłego, zarządzimy publikację datków i zawiążemy komitet z mężów z całego kraju, posiadających ogólne zaufanie, by z jego radą i pomocą doprowadzić dzieło w jak najkrótszym czasie do skutku. — Z Rady Wydziału krajowego. We Lwowie dnia 14. września 1875.

Zastępca marszałka krajowego: Oktaw Pietruski; Członkowie Wydziału krajowego: Dr. Franciszek Smolka, Dr. Józef Wereszczyński, Maciej Zenon Serwatowski; Dr. Jan Czajkowski, Zastępca Członka Wydziału krajowego."

Ponieważ Wydział krajowy upoważnia nas do zbierania składek na cel powyższy, przeto prosimy Szanownych naszych Czytelników i Przyjaciół, aby w uznaniu zasług zmarłego Namiestnika pospieszyli z licznemi datkami, któie my odeszlemy Wydziałowi, ogłaszając poprzednio w „Tygodniu" nazwiska dawców.

Podróże, wynalazki i komunikacje.

— Mamy w rękach statut niemiecko-abissyńskiego towarzystwa. W czwartym paragrafie znajdujemy wiadomość, że Tow. zamierza założyć niemiecką kolonję w Einkobar (stolica państwa Choa w Afryce) aby z tamtąd przedsiębrać wycieczki naukowe w części kraju dotąd zupełnie nie znane. Równocześnie koloniści będą się zajmowali handlem, mieniając krajowe produkty, jak: kość słoniową, perły, strusie pióra, kawę, indygo itp. za towary europejskie. Założycielem kolonji jest niejaki Rengé. Aby zostać kolonistą, trzeba złożyć 3.000 marek.

— Na kongresie niemieckich naturalistów i lekarzy w Gracu, miał podróżnik Weyprecht ważny odczyt o badaniach i podróżach w świecie arktycznym. Zdaniem jego dotychczasowe podróże do bieguna północnego nie osiągały zupełnie swego celu, ponieważ podróżnikom szło więcej o badania geograficzne jak naukowe. Każdy chciał dostać się jak najdalej na północ, a naukowe badania pomijał jako mniej ważne. Zdaniem Weyprechta, podróżnicy polarni powinni odtąd zwracać główną uwagę na zdobycze ściśle naukowe.

— Paryski *Journal Officiel* donosi, że niedawno wynaleziono we Francji nowy przyrząd do stenografowania, za pomocą którego w jednej minucie można napisać 200—250 wyrazów, tj. tyle, ile najbieglejszy mowca może ich w tym czasie wypowiedzieć.

— W okolicy Sulenczyna, jak donosi Gazeta Toruńska, wykopano grób pogański, w którym znaleziono 15 urn i wiele innych zabytków jak n. p. kilka pierścieni i łańcuszków.

— W Glasgowie robiono doświadczenia z nowemi omnibusami, które toczą się po szynach żelaznych, pędzone powietrzem ścieśnionem. Maszyny z powietrzem dwie: jedna z przodu, druga z tyłu. W godzinie robi taki omnibus 16 kilometrów.

— Ze Szwajcarji donoszą, że roboty w tunelu przez Św. Gotharda szybko postępują. Od strony północnej wyżłobiono już 2.300 metrów, a od południowej 2.100 metrów.

— Amerykańskie miasto Filadelfja wzrasta z szybkością niesłychaną. W roku ubiegłym postawiono tam 5.000 nowych domów, a w bieżącym stanie 8.000 nowych, ponieważ przyszłoroczna wystawa zachęca wielu do budowania. Żeby tylko nie było krachu jak we Wiedniu!

— Francuski minister marynarki, wysłał porucznika okrętowego Brazza Savorgnan — do środkowej Afryki. Porucznikowi będzie towarzyszyło od Gabun 15 majtków i 150 krajowców. Najpierw udaje się podróżnik do plemienia Osyabar, które ma składać się z dzikich ludożerców.

Gospodarstwo.

— W całych Niemczech spodziewają się w tym roku bardzo obfitego zbioru ziemniaków, chociaż wielka posucha w ostatnich tygodniach trochę im zaszkodziła. Owoce także bardzo pięknie dojrzały, a co do zbioru wina to będzie on takim, jakiego oddawna nie pamiętają.

— Obecnie odbywająca się w Kolonji wystawa ogrodowa ściąga niezmierną ilość gości; w niektóre dni bywa ich do 15.000 osób. Dwunastego września zaś w dzień tak zwanego „Volkstagu" było na placu wystawy 19.000 do 20.000 odwidzających.

Szkolnictwo.

— Państwo niemieckie ma w tej chwili 60.000 szkół ludowych do których uczęszcza 6 miljonów uczniów. Na 1000 mieszkańców przypada tam 150 uczniów. Kiedyż to my będziemy mogli mówić o takim stosunku!

Wojskowość.

— W angielskiej lejarni dział w Woolwich, robiono teraz próby z nową armatą, której jeden pocisk waży 1250 funtów, a ładunek prochu 190 funtów. Ładowanie prochu odbywało się za pomocą maszyny hydraulicznej. Pocisk przebił tarczę na 50 cali. Nie ma więc pancerza okrętowego któryby mu się oparł.

— Z końcem sierpnia rb. odbywały się w Londynie, w przytomności admiralicji próby z nowo wynalezionym przyrządem dla nurków, który prześciga wszystkie dotychczas znane. Człowiek zaopatrzony w ten przyrząd, nie komunikując się ani z powierzchnią wody ani z lądem, może dłuższy czas spędzić na dnie morza, i tam zapalić sobie latarnię, która tak jest sporządzona, że woda jej nie zgasi. Za pomocą kompasu może także kierować się w podwodnej wędrówce. W ogóle prawie nie ma czynności, której by nie mógł przedsięwziąć. Admiralicja angielska sądzi, że tacy nurkowie będą bardzo pożyteczni przy zakładaniu torpedów pod nieprzyjacielskie okręty.

Sport.

— W ogrodzie tulieryjskim w Paryżu, odbyły się d. 17 Września wyścigi na welocypedach. Przestrzeń wynosiła 8 kilometrów tj. jednę milę geograficzną. Zwycięzcą był Anglik, nazwiskiem Moore. Drugim był Francuz.

ROZMAITOŚCI.

— Że Scribe był królem wszystkich dramatycznych pracowników, to powszechnie wiadomo, ale mniej znaną jest rzeczą, że był także współpracownikiem królewskim. A rzecz się miała w ten sposób: Scribe około r. 1850 napisał libretto wedle Szekspirowskiej „Burzy“. W Anglji życzono sobie operę tę jak najprędzej widzieć na scenie; Scribe więc udał się, ażeby rzecz całą przyspieszyć i przy wprowadzeniu sztuki uczestniczyć. Zaraz za przybyciem swojem pospieszył do zamku Claremont, gdzie zdetronizowany Ludwik Filip francuski smętne dni pędził. Słaby ten ale dobry król był wedle zdania wszystkich, którzy go znali, najprzyjemniejszym gadułą swojego czasu. Ciągnęła się więc ożywiona rozmowa i król zwróciwszy zręcznie rzecz na „Burzę“ rzekł nagle wpół żartobliwie wpół poważnie: — A czy wiesz, panie Scribe, że mam zaszczyt być twoim kolegą? — „Jakto, Najjaśniejszy Panie!“ — Bardzo prostym sposobem. Pan przybywasz do Londynu w sprawie libretta do opery, a ja w młodości mojej także libretto ułożyłem i mogę ci zaręczyć, że nie było najgorsze. — „Bardzo temu wierzę, Naj. Panie; potrafiłeś robić daleko trudniejsze rzeczy“.— Trudniejsze może dla pana, ale nie dla mnie. Ja sobie „Rycerzy i Okrągłe głowy“ wybrałem za temat. — „Bardzo piękny przedmiot, odrzekł twórca Hugenotów“ — A cóż, pozwolisz może, ażebym ci moje libretto opowiedział. Przypadek podsunął mi właśnie w tych dniach rękopis jego. Interesującą byłoby dla mnie rzeczą, usłyszeć o pracy mojej zdanie pańskie. — „Jestem na rozkazy N. Panie.“ I oto zaczął Ludwik Filip ze znanym swoim talentem opowiadania. rozwijać przed dramaturgiem akt pierwszy. Scribe z początku słuchał w milczeniu i z uszanowaniem, jak gdyby mowy tronowej, powoli jednak w miarę rozwijania się sztuki, przemogła w nim natura autorska, zapomniał całkiem, że ma z królem do czynienia, a widział tylko plan opery przed sobą; to też przy pierwszym niezręcznym zwrocie przerwał królowi wykrzyknikiem: „O! to niemożebne!“ — Jakto niemożebne, panie Scribe? — zapytał nieco obrażony król — dla czego niemożebne? — „Najprzód, ponieważ nieprawdopodobne, a powtóre, co gorsza jeszcze, ponieważ pozbawione interesu.“ — Pozbawione interesu! pozbawione interesu! — mruczał król — Mój drogi panie Scribe, pozwól no tylko...— Ale tu już role były zmienione, Scribe znajdował się w swoim żywiole i czuł się panem. „Czy wiesz, Najjaśniejszy Panie, zawołał, czegoby tu koniecznie było trzeba? Sceny miłosnej! Polityka jest przewyborną rzeczą w radzie ministrów, ale opera wymaga miłości.“ — No dobrze, dodajmy więc miłość — odparł Ludwik Filip, śmiejąc się. — I zabrali się obaj do roboty, która trwała aż do godziny powołującej Scribego do Londynu. Rozstając się, rzekł król ze zmartwioną miną: — Już pan odchodzisz? Nie, nie puszczę cię, póki nie przyrzekniesz mi jutro rano przybyć tutaj na śniadanie. Nasza opera nie gotowa jeszcze. Do jutra więc!—„Do jutra N. Panie!“ Nazajutrz przybywszy, napotkał Scribe przed drzwiami króla królowę, która nań oczekiwała, a ujrzawszy go, wyciągnęła doń ze wzruszeniem ręce i serdecznym tonem rzekła: — Najgorętsze dzięki, panie Scribe! Pierwszy raz od dnia swego wygnania król miał wczoraj wesołe usposobienie. Dzisiaj zaś, gdym rano weszła do jego pokoju, zastałam go siedzącego w łóżku i pocierającego sobie czoło, jak to zwykł był czynić przodek jego, Henryk IV, znajdując się w kłopocie. Tak siedząc mruczał: Ten djabelski Scribe myśli, że to tak łatwo — i uśmiechał się przytem tak wesoło! tak wesoło! Proszę pana, przyjdź tu znowu, przychodź codzień, póki będziesz w Londynie. Obiecujesz mi to pan? — Do łez prawie wzruszony Scribe przyrzekł i dotrzymał słowa.

— Przed sądem przysięgłych w Finisterre stawał niedawno oszust, którego życie jest jednym łańcuchem najromantyczniejszych przygód. Ernest Léveillé ma lat czterdzieści, a był już marynarzem, żołnierzem, księdzem, Lazarystą, profesorem, nowicjuszem u Jezuitów i spekulantem giełdowym; otrzymał trzy czy cztery ordery, przewędrował świat cały i jest człowiekiem wymownym, pełnym wykształcenia i energji. Pierwsze studja odbył w Paryżu w Collège Lóuis le Grand; w szesnastym roku wstąpił do wojenej marynarki i z fregatą odbył podróż do Chin i Japonji; poczem porzuciwszy służbę morską wszedł jako żołnierz do drugiego pułku pjonierów, konsystującego w Metz. W chwili wybuchu wojny wschodniej przeszedł do piechoty i z nią razem ruszył do Krymu. Lekko ranny i chory dostał się do szpitalu w Konstantynopolu, zkąd zdezerterował i poszedł służyć jako ochotnik przy armji tureckiej. Po skończeniu wojny kręcił się po Azji Mniejszej przez lat cztery, następnie zaś, powróciwszy do Konstantynopola, zapoznał się z apostolskim prefektem wschodnich Lazarystów wszedł do jednego z ich kolegjów, odbył studja teologiczne, przyjętym został do zakonu i wyświęconym na księdza. Wysłany ztąd do Smyrny. dla zreorganizowania tamtejszego kolegjum Lazarystów, powrócił wkrótce znowu do Konstantynopola i wszedł w niewyjaśnione dotąd ścisłe stosunki z francuskim posłem, markizem de Moustier i nawet z całym dyplomatycznym światem. W 1869 r. wraca do Francji i wstępuje do Jezuitów, którzy go najprzód do nowicjatu w Angers, a następnie do kolegjum w Vannes posyłają, kędy pracuje również, jako profesor języków nowożytnych. Podaje się w tem mieście za wysłużonego oficera od artylerji i kawalera legji honorowej, i używa u wszystkich wielkiego poważania, szczególniej u dam jako spowiednik. W czasie ostatniej wojny ozdobiony czerwonym krzyżem służy przy ambulansach. Powróciwszy do Vannes zawiązuje poufne stosunki z kilku damami. W 1871 wraca znowu do Lazarystów, którzy go w charakterze profesora do Montpellier posyłają; tutaj spada nań podejrzenie, że ukradł 12000 fr; ucieka więc do Brazylji. Wypędzony z zakonu wraca znowu do Francji, jedzie do Włoch i wreszcie do Belgji, gdzie go stary jakiś pastor w Charleroi przyjmuje za wikarjusza. Temu kradnie 18000 fr. w papierach i ukrywa się w Nenilly, kędy wydając się na oficera marynarki, żyje pod nazwiskiem Dussard de Véga. Mieszka tu razem z jakąś kobietą, z którą objeżdża miejsca kąpielowe; osoba ta niknie następnie, a Léevillé twierdzi, że wstąpiła do klasztoru. Spekulując na giełdzie, traci większą część skradzonych pieniędzy, przenosi się więc do niewielkiej wioseczki obok Morlaix, i zawiązuje tam stosunek z ekspedytorką poczty. Tej kradnie cztery mandaty pocztowe, wypełnia je i podnosi na ich podstawie 1180 fr. Na tej jednak ostatniej przygodzie chwytają go i stawiają przed sądem. Tu przyznaje się do wszystkiego odrazu, wypowiada piękną pełną skruchy i namaszczenia mowę — i otrzymawszy wyrok na 15 lat ciężkich robót, jak najobojętniej go przyjmuje.

— Jeden z dzienników niemieckich opisuje napad piratów na załogę korwety austryjackiej „Friedrich“. 5 Maja r. b. korweta ta zarzuciła kotwicę w zatoce Santa Lucia, przy ujściu rzeki Siboku, na północno-wschodniem wybrzeżu wyspy Borneo. Spuszczono łodzie i wysłano je ku lądowi dla oznaczenia za pośrednictwem ołowianki głębokości morza w tem miejscu. Przy tej sposobności wyszukano także na brzegu wyspy stosowne miejsce na poręb drzewa, ponieważ korweta potrzebowała paliwa. Dnia tego zwróciło uwagę załogi siedem łodzi, osadzonych krajowcami, płynących w pewnym porządku, jedna za drugą wzdłuż brzegu. We dwa dni potem (7 Maja) wysłaną została szalupa z trzydziestoma ludźmi pod komendą kadeta, z rozkazem, ażeby załoga jej zabrała się na cały dzień do rąbania drzewa. Na wszelki przypadek majtkowie zabrali ze sobą dziesięć sztuk broni. Miejsce wybrane do porębu oddalone było od okrętu około $3^1/_2$ mil morskich i ukryte za wyniosłością dosyć znaczną, niedozwalającą dojrzeć robotników z okrętu. Około drugiej po południu zauważono z pokładu „Friedricha“ pięć łodzi, które się w bliskości miejsca roboty pokazały, i w wojennym porządku skierowały w tamtą stronę. W niedługi czas potem pojawił się statek, podobny zupełnie do wysłanej szalupy, pędzący w stronę rzeki i tam niknący a wnet potem zjawiły się znowu owe pięć łodzi krajowców i popłynęły żywo w ślad za owym statkiem. Nikomu na pokładzie okrętu ani na myśl nie przyszło, jaki się w tym krótkim czasie dramat odbył na brzegu wyspy. Tymczasem tak było. Owe pięć, spostrzeżonych z pokładu „Friedricha“ łódek, zbliżyło się wprost do szalupy, oddalonej nieco od brzegu z powodu odpływu. Majtek stojący w niej na straży, ujrzawszy zbliżających się dzikich, zawołał do towarzyszy na brzegu: „Guarda, guarda, che vien pescatori!“ (Baczność, baczność, rybacy przybywają). Zaledwo jednak skończył, gdy przybysze, na odległość kilku kroków tylko, wypalili doń dwukrotnie. Na ten odgłos poskoczyła część pracujących na brzegu z bronią i wszedłszy w płytką wodę, rozpoczęła ogień na napastników; druga zaś część rzuciła się ku szalupie, starając się przyciągnąć ją do lądu i zabezpieczyć. Ale w tej chwili na nadbiegających posypały się się kule, pociski i strzały. Stojący na straży majtek wystrzelił jeszcze kilkakroć, — gdy go jednak piraci przyparli zanadto, skoczył w wodę i przez zręczne zanurzenie się, zdołał życie ocalić. Drugi majtek pochwycił za broń jego, pozostawioną w szalupie, i także wystrzelił kilka razy. Wnet jednak upadł ciężko ranny — a gdy w chwilę potem dwóch majtków jeszcze legło, a dwóch innych ciężkie odniosło rany. reszta cofnęła się napowrót na brzeg i do lasu, jużto w zaroślach, już to na drzewach szukając schronienia. Piraci, zostawszy panami pola walki, nie mieli nic pilniejszego, jak owładnąć opuszczoną szalupą i odstawić ją w bezpieczne miejsce. Dokonawszy zaś tego, powrócili i znowu wyszli na brzeg, zrabowali wszystko co tylko znaleźli, a mianowicie narzędzia robotnicze, naczynia, broń itd. Nie dosyć na tem. Ujrzawszy dwóch rannych śmiertelnie majtków, leżących w płytkiej wodzie, odrąbali im głowy, a tułów w barbarzyński sposób pokaleczyli. Głowy te, uważane u miejscowych Dajaków, jak i u innych dzikusów, za trofeum, unieśli za sobą. Aż do $5^1/_2$ po południu, ukryci w lesie robotnicy znosili najstraszliwszą trwogę, która powiększyła się jeszcze, gdy ujrzeli powracających rozbójników. Wieczorem przybyła druga szalupa od okrętu, ani nie domyślając się co znajdzie. Na jej widok rzucili się ukrywający się majtkowie w morze i dopłynęli do statku, oznajmiając o wciąż grożącem jeszcze niebezpieczeństwie. Załoga szalupy nie mogła jednak przyjąć walki z piratami, bo była zupełnie bezbronną. Nazajutrz dopiero liczne i dobrze przygotowane siły popłynęły ku wybrzeżu — ale rozbójników już tam nie było. Ilość ich, wedle opowiadania aktorów tego zdarzenia, miała wynosić piętnastu ludzi. W walce zginęło ich trzech, a pomiędzy tymi dowódzca, olbrzymiego wzrostu, z długą, białą brodą.

— W łańcuchu Kordylierów meksykańskich góra Popokatepl jest jedną z najwyższych. Wysokość jej dochodzi 17.884 stóp angielskich. Od dołu zarośniętą jest sosnami, wyżej rosną rozmaite krzewy karłowate i zielsko, a na wysokości 14,000 stóp zaczynają się wieczyste śniegi. Anglicy Glennie i Taylor pierwsi wdrapali się na szczyt wulkanu w r. 1827. W roku bieżącym byli tam i spuścili się w czeluść ognistą pułkownik Grasty z Wirginji i p. Harry Stevens z Cleveland. Oto list pana Stevens ogłoszony w jednym z dzienników amerykańskich: „Dostawszy się na krawędź czeluści, byliśmy w możności zmierzyć jej obszerność. Obwód wynosi milę angielską, a głębokość 4500 stóp. Schodząc bardzo stromą ścieżką dotarliśmy do małej płaszczyzny, na której — rzecz prawie nie do uwierzenia — żyje 40 robotników zajętych wydobywaniem siarki, którzy rzadko z tej otchłani wychodzą. Przenocowaliśmy u nich. Jest tam aparat do spuszczania się na linie w głąb siarczanych pokładów; zowią go „el malacate.“ Widok tych głębin jest bajecznie wspaniały i straszny zarazem. Siarka roztopiona płynie strumieniami z rozpadlin, a kłęby dymu wznoszą się w górę. Spuściliśmy się tam przywiązani do liny, a podróż wydawała się nam jakby snem dantejskim...

Odpowiedzi Redakcji.

Wł. S. w Krakowie. Oczekujemy niecierpliwie wiadomości Prosimy o natychmiastową odpowiedź.

K. w Skałacie. Uczynimy zadość żądaniu, a rachunek przyszle Adm: „Dziennika Polskiego“

Treść Nr. 41.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego).